ZN

Wieniec Powieści i Opowiadań

DLA LUDU POLSKIEGO.

CHICAGO, ILLINOIS
Drukiem Polish American Publishing Co.
1163 Milwaukee Avenue.

WIENIEC

POWIEŚCI i OPOWIADAŃ

DLA LUDU POLSKIEGO.

Biblioteka Jagiellońska
1000602958

c. 1890?

CHICAGO.
Czcionkami i drukiem W. SMULSKIEGO, 565 Noble St.

BIBLIOTHECA VNIV. IAGIELL. CRACOVIENSIS

B 240683

I.

ZN

Szymon Deptuła
emigrant z Polski
w darze
Bibliotece
Jagiellońskiej

Bibl. Jagiell.
2002 D

MARCYA.

Z CZASÓW PRZEŚLADOWANIA CHRZEŚCIAN.

Przez Hr.

I.

Zaczynał się ranek przepyszny. Pierwsze promienie słońca pozłacały zaledwie szczyty pagórków miasta Rzymu, oświecając powoli przepyszne pomniki, wystawione przez Nerona, kiedy już lud w świątecznych szatach cisnął się przeciągając ulice i place. Tłumy zwiększały się za każdym krokiem i płynęły gęstemi falami ku Placowi Tryumfalnemu, niedaleko od wzgórza Watykańskiego. Plac ten miał być dzisiaj świadkiem najświetniejszego tryumfu, jaki Rzym był kiedykolwiek podziwiał.

Tytus, syn Wespazyana, który już się był odznaczył we wojnach w Germanii i Brytanii, wracał ze zwycięzkiej wyprawy przeciwko Judei. Senat przyznał mu prawo uroczystego tryumfu, i lud przybywał, aby widzieć wspaniały pochód jeńców przykutych do woza tryumfalnego i łupy ogromne. Bogowie Rzymu mieli także swój udział w tryumfie, gdyż dla Jowisza Kapitolińskiego przywieziono zdobycze wydarte Bogu Żydów, temu Bogu, który, wedle pojęcia pogan, z zazdrości sam jeden odbierać chciał cześć na świecie.

Legie uwieńczone wawrzynami, okryte jedwabnemi płaszczami, czekały u bram miasta; żołnierze kończyli właśnie bankiet, który im był

dany na cześć pod Łukiem Tryumfalnym, po ofierze złożonej bogowi wspierającemu i opiekuńczemu. Nareszcie orszak rusza z miejsca, przyjmowany z zapałem okrzykami niezliczonego tłumu.

W środku tego przepychu i zaraz obok woza tryumfalnego postępował, okryty kajdanami i łańcuchami, w sukniach żałobnych, Szymon, syn Goryasza, gubernator Judei za czasów oblężenia Jerozolimy. Przeznaczony na śmierć po skończeniu pochodu, wyobrażał on swój naród, zrabowany i uwięziony.

Wespazyan stał na pierwszym wozie: Tytus był na drugim, a obok niego brat młodszy Domicyan jechał na rumaku numidyjskim. Tytus miał na sobie płaszcz purpurowy ozdobiony złotem, kosztowne naramiennice i wieniec laurowy. Wóz jego, zbudowany ze złota i bronzu, był oprócz tego nasadzany drogiemi kamieniami; ciągnęły go cztery przepyszne siwe konie, a uzdy złote trzymało czterech niewolników, uwieńczonych oliwnemi gałęziami i okrytych w białe długie płaszcze. Obok wozu postępował niewolnik mający powtarzać tryumfatorowi: ,,Pamiętaj, żeś tylko człowiekiem.‘‘ Postawa poważna Tytusa w pośród ogólnego upojenia zdawała się oznaczać, że nie potrzebował on wcale tych słów przypomnienia; czuł on, że burząc Jerozolimę,

był rzeczywiście tylko narzędziem w ręku Boga.

Za nimi szło całe wojsko, otoczone ludem, który nie ustawał w okrzykach przez całą drogę do Kapitolu. Tu pośród głębokiego milczenia oczy wszystkich zwróciły się na Szymona, księcia Judei; liktorzy wyrwali go z gromady jeńców, osiekli go rózgami i poprowadzili do więzienia, gdzie został natychmiast zaduszonym. Tuż po jego śmierci liktor przychodzi powiedzieć Tytusowi: Actum est (spełniło się). Na znak ten tłumy znowu się odezwały, a Tytus wszedł dc świątyni i modlił się głośno: ,,Jowiszu, i wy, bogowie nieśmiertelni, składam wam dzięki za to, żeście aż dotąd państwo rzymskie zachowali, żeście je powiększali i żeście opiekowali się niem, używając mego zwycięzkiego ramienia; pragnieniem mojem teraz jest, żeby pracować nad jego szczęściem i pomyślnością".

Następnie złożył na kolanach Jowiszowego posągu gałązkę oliwną i wieniec swój laurowy.

Uczta świetna, przez senat wyprawiona, zakończyła ten dzień uroczysty.

Wieczorem ulice przybrały swoją zwyczajną postawę; kilka wozów patrycyuszowskich powracając do domu przebiegało jeszcze przez miasto. W jednym z tych wozów zaprzężonym w cztery kare konie i poprzedzonym przez dwunastu liktorów, którzy mu robili miejsce, znajdowa-

ły się cztery Westalki ubrane w bieli i okryte długiemi zasłonami; przechodnie kłaniali się im z szacunkiem.

Jedna z nich nazywała się Marcya Sulpicya; należała ona, jak większa część Westalek, do bardzo szlachetnej rodziny. Skoro przybyła do świątyni i weszła do swych komnat, a niewolnica Lea zdjęła z niej naszyjniki i klejnoty, poszła do okna, aby użyć jeszcze świeżego powietrza nocy.

Pomimo spóźnionej pory Marcya przedłużyła swą rozmowę ze starą Leą.

—Nie prawda, Leo, że to piękne było przedstawienie! najpiękniejsze z pewnością, na jakie Forum już od dawna patrzało? Czy podziwiałaś orszak tryumfalny?

— Tak odpowiedziała niewolnica; lecz ja widziałam jeszcze wiele innych w mojem życiu.

Lea służyła od dawnych lat w szlachetnym domu Sulpicyuszów. Wychowała była Marcyę i poszła za nią do świątyni, gdy ta przez arcykapłana została wybraną na usługi Westy.

— Widziałam, mówiła, Germanika, jak tryumfował nad barbarzyńcami północy i przyniósł do Rzymu ostatni sztandar, jaki Warus zostawił był w ręku Arminiusza. Widziałam cześć oddawaną Kaliguli, co chciał tryumfować z powodu zwycięztw, których nigdy nie odniósł. Widzia-

łam Nerona wracającego z Grecyi, gdzie nie był pobił ani Gallów, ani Germanów, ale gdzie odniósł nagrodę na igrzyskach olimpijskich. To był dopiero piękny tryumf!

— A Tytus, odparła dumnie Rzymianka, ten rzeczywiście tryumfuje nad straszliwymi nieprzyjaciołmi. Czy widziałaś tych niewolników, tych wielkich książąt judzkich? Ale jednak, Leo, widok ten, który powinien był napełnić serce moje radością, pozostawił mnie zimną i nieczułą. Zdaje mi się, że nawet czułam litość nad tymi nieszczęśliwymi. Niestety! czy krew moich przodków miałaby się we mnie wyrodzić?

— Bł gosław niebu, moja córko; dało ci ono łagodność i dobroć, to znaczy: prawdziwą ozdobę kobiety.

— Ale ten naród niegdyś tak sławny, czyliż ma on zniknąć ze ziemi?

— A jednak temu narodowi zostało przyrzeczone panowanie tego świata.

— Co mówisz, Leo? Królestwo tego świata przyrzeczone zostało tylko następcom Romulusa, Rzymianom jedynie.

— Jakże, moja córko, czy nie znasz proroctwa bogów Rzymu?

— Co chcesz mi powiedzieć? nie rozumiem.

— Słuchaj: Cesarz August niespokojny o los swego państwa i nie widząc nic, coby go po-

cieszyć mogło, poradził się był wyroczni zwanej Pallor i następującą otrzymał odpowiedź: ,,Syn hebrejski, sam Bóg i Pan wszystkich rzeczy, zmusza mnie do oddalenia się i każe mi powrócić do piekieł.“ Później ujrzał August na niebie ołtarz, na którym Dziewica wielkiej piękności trzymała Dziecię w swych ramionach. W tej samej chwili usłyszał następujące słowa: ,,Oto ołtarz Syna Bożego.“ August ukląkł i uczcił to Boskie Dziecię. Potem kazał zbudować ołtarz z napisem: ,,Pierworodnemu Synowi Boga.“

— I ten Boski Syn ma panować nad światem? Czy się już urodził? Znajdujeż się już pomiędzy śmiertelnymi?

— Żył on już i dał nam naukę świętą, a niebieską; źli go prześladowali, skazali go na śmierć krzyżową.

— Krzyż jest tylko dla niewolników, więc panowanie jego przyszłe jest tylko urojeniem?

— Owszem panuje on, ale przez swe prawa i przez swą naukę.

— A któż to uczy tych rzeczy?

— Było to za panowania Klaudyusza, gdy nieznajomy jakiś przyszedł do Rzymu. Nauczał on nowej religii i potępiał występki, którym w Rzymie wystawiono świątynie. Człowiek ten głosił, że religia ta nowa zwycięży nie tylko w Rzymie, ale na świecie całym. Pomyśl więc

sobie, jak został przyjęty przez dworzan cezara.

— Pewnie śmiali się z podobnych bajek.

— Jednak mu się powiodło, wiele Rzymian przyjęło jego naukę; wiele uczniów nauczyło się od niego miłości bliźniego, pokory, łagodności, czystości. On umarł, ale religia jego żyje, i przeobrazi świat cały.

— Więc umarł, mówisz?

— Tak, Marcyo, umarł jak i towarzysz jego, Paweł, który kazał przed mędrcami Koryntu i Aten. Neron skazał ich na śmierć. Czy nie przypominasz sobie tych przerażających widowisk za panowania Nerona?

— W czasach Nerona widowiska takie były zwyczajnemi rzeczami.

— Gdy zapalił Rzym i gdy wydał na pastwę wściekłego ludu niewinnych chrześcian, gdy wynalazł przeciwko tym ostatnim nowe okrucieństwa? Jedni, zawinięci w skóry dzikich zwierząt, rozdzierani byli przez psów; drudzy poprzywiązywani do palów, oblewani byli smołą, owijani pakułami, które zapalano, aby przyświecać uczcie, jaką Neron dawał w swoim ogrodzie, i gdzie przebrany za woźnicę pomiędzy tłumami przejeżdżał na wozie tryumfalnym. Ci odważni, którzy tak oddawali swe życie z radością, aby zachować wiarę świętą, ci, moja córko, byli to chrześcianie!....

— A ty, Leo, zawołała żywo kapłanka Westy, czy byłabyś także chrześcianką?

Niewolnica spuściła głowę, potem w niebo wskazując palcem zawołała:

— Oby Bóg przybliżył ten dzień, w którym i ty także, moja córko, zostaniesz oświeconą przez to światło niebieskie; wtenczas zasnę radosna w pokoju.

Nazajutrz Marcya wstała bardzo rychło po śnie, w którym żydzi, rzymscy bogowie, wyrocznie Augusta przesuwały jej się w mglistych obrazach, a umysł jej zostawał jeszcze ciągle pod wrażeniem słów starej sługi.

Szukała jeszcze rozrywki w rozmyślaniu, a gdy jej dano znać, że jedna z jej przyjaciółek, Prakseda, czekała na nią w ogrodzie, pobiegła tamdotąd i obiedwie poszły usiąść w cieniu jaworów.

— Czy masz wiadomość od mego brata, Sewera? mówiła Marcya, zaniepokojona bladością swej przyjaciółki.

— Właśnie przyszłam po nią do ciebie; albo raczej słuchaj, Marcyo, przyszłam pocieszać się z tobą we wspólnej naszej boleści.

— Co, Praksedo? czy go spotkało jakie nieszczęście? Już dawno nie był w świątyni. Powiedz, co wiesz o nim?

—Niestety, biedna Marcyo, nawiedzenie jest

ciężkie; uzbrój się w odwagę. Sewer jest oskarżony o knowanie przeciwko cesarzowi, a jutro senat ogłosi mu wyrok.

Marcya uczuła, że jej sił zabrakło; upadła w ramiona swej przyjaciółki.

— O, mój bracie, zawołała, jedyny, którego mi kochać wolno, czy mają cię mi wydrzeć? Prakseda, czy nie można spodziewać się ułaskawienia.

— Niestety! Przypomnij sobie Sabina i jego żonę. Niegdyś Rzym wystawiał im ołtarze a teraz Wespazyan wydaje ich katowi.

— A więc chcą cię uśmiercić, mój bracie, tak młodego, żywego, mocnego, tak zgoła pięknego! Pójdę do cesarza, błagać go o łaskę dla Sewera.

— Nie wierzę, żeby cię wysłuchał, biedna Marcyo. Przypominają sobie jeszcze Nerona. Każdy boi się cezara. Moi bracia Nowacyan i Tymoteusz wstawili się już za nim w senacie.

— Jakąż więc mogę mieć nadzieję? czegoż mam się obawiać? zawołała nieszczęśliwa kapłanka; czyjejże pomocy mam wezwać?!

— Naszej, kochana Marcyo, odrzekła Prakseda, przyciskając ją do serca. Nasz Bóg jest Bogiem nieszczęśliwych i cierpiących. Módl się do niego, a zobaczysz, jak ci osłodzi wszystkie

bóle, tak jak osusza łzy wszystkie. Marcyo, zwróć wzrok swój ku Bogu chrześcian.

II.

Nazajutrz rano Marcya klęczała jeszcze przed ołtarzem Westy. Przepędziła tam noc całą, ponieważ boleść jej należała do tych, co szukają samotności i milczenia. Od czasu do czasu wydawała ciężkie westchnienia, do których mięszało się imię Sewera, albo skargi i wyrzuty bogom, których oskarżała o niesprawiedliwość; potem znów opłakała to młode i tak rychło przecięte życie brata. W samej rzeczy, pogłoska krążyła, że Sewer skazany przez Senat nie chciał czekać na kata, i że trupa jego znaleziono w kąpieli, gdzie sam był sobie otworzył żyły. Marcya dowiedziała się zapóźno o tej śmierci. Znajdowała się sama jedna w tej świątyni oświeconej słabo przez ogień poświęcony, który utrzymywała; piękną swą głowę, zmęczoną strapieniem, wsparła na rękach; nawet nie usłyszała, gdy drzwi przedsionka się otworzyły i wszedł człowiek owinięty płaszczem. Nagle zadrżała przed głosem Sewera:

— Marcyo, to ja! nie bój się niczego.

— Sewer! bogowie! czy to duch twój mi się ukazuje? Myślałam, że należysz już do umarłych.

— Żyję, ukochana siostro, pójdź w moje o-

jęcia! Żyję, lecz tylko dla ciebie jednej; dla reszty świata już zniknąłem.

— Ach, Sewerze, wróciłeś mi! Czy Wespazyan cię ułaskawił?

— Nie byłbym go o to nigdy prosił; nie oczekuję niczego od takich jak on tyranów; ale nie chciałem się dać zadusić siepaczom. Dla tego też opuszczam pałac moich przodków, aby pójść w inne kraje, gdziebym mógł żyć na wolności.

— Lecz jakimże sposobem ujść mogłeś? Powiedziano mi, że otworzyłeś sobie żyły.

— Niewolnika zmarłego tego samego rana kazałem wsadzić do łaźni mojej, tak że wzięto go za mnie. Trup jego płynie teraz w Tybrze, a ja w tej chwili uciekłem z jednym sługą i udaję się w krainy Wschodu, gdzie znajdę może mniej niesprawiedliwe ustawy, panów mniej okrutnych.

— Niestety, potęga Rzymu wszędzie dzisiaj sięga!

— Będę umiał uniknąć pogoni Wespazyana. Ale co mnie martwi, moja kochana Marcyo, . to to, że będę zniewolony nigdy cię może już nie zobaczyć. Czas nagli, żegnam cię! Wzywaj bogów, aby sprzyjali mej ucieczce; aby czuwali nad tobą i połączyli nas kiedy z sobą. Żegnam cię! opuszczam te miejsca zakazane dla ludzi świeckich. i wracam do domu, zanim dzień zabłyśnie. Odwagi, Marcyo, opuszczam cię nazawsze!

Marcya poszła za bratem aż do przedsionka i nie powstrzymując już łez swoich, rzuciła mu się po raz ostatni w objęcia. Sewer oddalił się szybko, podczas gdy siostra jego, pogrążona w boleści, wracała do ołtarza. Nagle oczy jej ze smutku spuszczone ujrzały trójnóg wywrócony, węgle zaś rozrzucone już na kamieniach i zimne. Pozwoliła ogniowi świętemu wygasnąć!

We trzy dni potem przedsionki świątyni zapchane były tłumami ciekawych. Arcykapłani zgromadzili się na sąd najwyższy na sali wyroków; po za nimi zasiadły Westalki, ubrane w białe płaszcze i welony; Marcyi nie było pośród nich, ale wnet ukazała ona się na ławie oskarżonych. Westalki zaledwie przecież poznały dawniejszą swą towarzyszkę; nie miała już na sobie białej szaty o szerokich pasach z purpury i złota, ani naramiennic poświęcanych, tych najkosztowniejszych ozdób każdej Westalki; piękna jej głowa okryta była czarnem hańbiącem suknem oskarżonych, a nogi bose jak u niewolnicy. Pomimo straszliwego położenia swego ze stałością wyczekiwała ona wyroku, który już znała, zanim miał być wydanym.

Arcykapłan przemówił w te słowa:

— Przedstawiam tutaj najjaśniejszego cesarza naszego Flawiusza Wespazyana, w imieniu jego oskarżam ciebie Marcyo Sulpicyo, o zbro-

dnię obrażenia majestatu, gdyż uchybienie twoje naraziło państwo na niebezpieczeństwo. Pozwoliłaś wygasnąć ogniowi świętemu ołtarza Westy, opiekunki Rzymu, a niedbałość twoja miała powód w innej zbrodni, tak samo wielkiej, to jest w pogwałceniu najuroczystszych ślubów. Zbrodnie te bywają karane przez nasze prawo, a ja będę strzegł ich wykonania.

Marcya nic nie odpowiedziała.

— Czy możesz zaprzeczyć, Marcyo Sulpicyo, zbrodni, o którą oskarżam cię w imieniu cesarza i bogów? Czy możesz zaprzeczyć, że przed trzema dniami, w chwili gdy dowiadywałaś się o śmierci brata swego, zdrajcy świętych praw naszych, widziano cię u drzwi świątyni rozmawiającą z człowiekiem nieznajomym, któremu dawałaś oznaki miłości zakazanej przez twoje śluby? W tej chwili rozgniewana bogini pozwoliła świętemu ogniowi zgasnąć, aby przez nową zbrodnię powiększyć zbrodnię niewiernej kapłanki. Co masz do odpowiedzenia na te zarzuty?

— Nic, rzekła Marcya.

Pośród głębokiego milczenia, jakie zachowali wszyscy obecni, wyraz ten „nic“, chociaż słabym i drżącym wypowiedziany głosem, doszedł do uszu wszystkich. Arcykapłanka, która odebrała Marcyę z rąk matki i miała obowiązek opiekowania się nad nią, zawołała boleśnie:

— Marcyo, córko moja, jesteś niewinną, a nie masz nic do powiedzenia?

— Nic, odrzekła znowu Marcya. Ale tą razą mówiła głosem pewniejszym, a wzrok jej spuszczony zdawał się szukać w głębi serca odwagi, której tak bardzo potrzebowała, żeby nie wymówić słowa usprawiedliwienia i nie pozwolić się domyśleć prawdy, o której sama tylko jedna wiedziała; gdyż postanowiła była sobie umrzeć raczej, niż wyznaniem swojem narazić na niebezpieczeństwo już i tak zagrożone życie brata swego.

Kapłani naradzali się po cichu przez chwil kilka. Potem zabrzmiał głos arcykapłana:

— Marcyo, słuchaj wyroku swego potępienia, które jest nieodwołalne. Tortur ci oszczędzam, ale podług praw naszych, za godzinę najpóźniej znikniesz już z powierzchni ziemi. Pozwoliłaś zgasnąć ogniowi świętemu, powierzonemu pieczy twojej; zgwałciłaś, niewierna Westalko, najświętsze śluby, które cię przywięzywały do służby bogini, otrzymasz więc zapłatę swej zbrodni. Liktorowie, niech wyrok bogów zostanie spełnionym.

Marcya zbladła, pot zimny oblewał jej czoło; padła u nóg arcykapłanki; która nie mogąc jej ocalić, nie mogła nawet jej żałować; w końcu porwana przez liktorów, przeszła przed szere-

giem wzruszonych swych towarzyszek, których już ujrzeć nie miała.

Miasto całe było wzburzone, nie z powodu tryumfu, lecz z powodu nowego rodzaju widowiska, gdyż kara śmierci przez pogrzebanie żywcem, przeznaczona dla niewiernych Westalek, była nader rzadką, i Rzym używał jej tylko w nadzwyczajnych przypadkach. Pomimo zatwardziałości, jaką okazywali przy widowiskach, Rzymianie nie mogli ukryć wzruszenia swego na widok żałobnego pochodu, na widok tego wozu zamkniętego ze wszystkich stron, z którego wyszła młoda patrycyuszka w długich szatach żałobnych, o rysach pełnych szlachetności i uroku.

Na środku placu przygotowano grób, przed którym zatrzymał się orszak cały; zaprowadzono Marcyę przed niego. W chwili tej ostatniej szukała ona oczami spojrzenia przyjaźni i pociechy, lecz spotkała tylko spojrzenie kata, który spuścił w dół drabkę i przybliżał się do Marcyi, jakoby jej chciał pomódz do schodzenia.

— Ustąp, odparła dumnie Rzymianka, odpychając go poważnem skinieniem; potem zdejmując pierścień z palca i dając mu go w nagrodę, dodała:

— Nie dotykaj mnie!

Następnie zeszła powoli, spokojna i poddana losowi, nie podnosząc nawet ócz ku niebu, z

którego po raz ostatni na nią padało światło słońca ojczystego.

Ale gdy się dotknęła głębi swego grobu, gdy wydobyto drabkę, ten ostatni węzeł pomiędzy nią a życiem, gdy na otwór kładziono znowu kamienie, gdy jasne światło słońca miał zastąpić blask okropny małej lampki grobu, wtedy cała ta sztuczna odwaga opuściła ją, i cała pogrążona w boleści, zaledwie słyszała okropną robotę, jaka się ponad jej głową odbywała. Kończono też zamurowanie, które ją ze wszech stron zamknęło!

Gdy oczy jej przyzwyczaiły się do ciemności, spostrzegła małe łóżko, dalej kamień wielki, obok lampki grobowej, troszkę chleba i wody, szyderczy znak miłosierdzia, przeznaczony tylko na to, aby przedłużyć o dzień jeden cierpienia skazanej. Przypomniawszy sobie śmierć, która ją czekała, upadła na posłanie i skłoniwszy głowę, oddała się okropnej rozpaczy. Biedna Marcya! może teraz jęczeć i płakać; krzyki jak naj bardziej rozdzierające giną w głębokościach, w których ją pogrzebano, a jedynem lekarstwem, jakiego się może spodziewać, jest śmierć. Wzywa też jej i pragnie gorąco!

Tymczasem zmęczenie cielesne odniosło zwycięztwo nad duchem, i sen ciężki, ale wzburzony gorączką, przyszedł, by w posępnych ob-

brazach i widzeniach zastąpić smutne myśli rzeczywistości. Widzi ona we śnie, jak noc gruba zawisła nad Rzymem i potem słońce radosne wstało dla ziemi mieszkańców, co troszcząc się o własne sprawy, nie myśleli już o młodej dziewicy, pogrzebionej żywcem na kilka stóp pod miejcem, przez które przechodzili weseli. Bóg jeden myślał tylko o swem stworzeniu, od wszystkich opuszczonem.

Bolesny sen Marcyi przerwany został łagodnym głosem, który obok niej się odezwał:

— Bądź bez trwogi, Marcyo, córko moja; znałam cię od kołyski i uchronię cię od śmierci.

Widzenie prześliczne ukazało się jej teraz. Niewiasta, piękniejsza od wszystkich bogiń wyszłych z pod dłuta Fidiasza, zbliżyła się do łoża, aby jej pobłogosławić. Potem następowały inne zjawiska. Były to dwie młode dziewice, u których białość szat przechodziła jeszcze śniegi apenińskie; trzymały one w ręku lilie i róże, jedna z nich niosła miecz, strzały i inne narzędzia męki.

— Ja jestem Tekla, siostra twoja, mówiła pierwsza, uwierz i miej nadzieję.

— Pociesz się, rzekła druga, imię moje Pryscya; nabierz odwagi, my ciebie nie opuścimy.

Marcya wyciągnęła do Swiętych ręce błaga-

jące, otworzyła oczy, lecz zobaczyła tylko migającą lampkę, wydającą ostatnie promienie.

— O Boże chrześcian! zawołała; Ty, o którym mi mówiła Prakseda. Jeżeli istniejesz, to przybądź do mnie opuszczonej i umierającej; wzywam Cię z miłością. Smierć się zbliża; wybaw mnie od tej godziny! O Boże łaskawy, ratuj Marcyę, ratuj i Sewera!

Próbowała otworzyć oczy, ciemność zaległa grobowiec. Utraciła przytomność i bezwładna upadła na łoże.

Gdy odzyskała zmysły, myślała, że śni jeszcze, i że widzi jeszcze przed sobą Teklę i Pryscyę.

— Kto jesteście? odezwała się głosem gasnącym do dwóch niewiast siedzących u jej łoża.

— Przyjdź do siebie, moja córko, jestem twoja niewolnica, Lea, chrześcianka. Czy myślałaś, żebym cię opuściła?

— A ja, rzekła Prakseda, jestem twoją przyjaciółką. Czy poznajesz mnie teraz?

— A więc sen mój jeszcze nie skończony? Więc już nie cierpię? Gdzież jestem?

— U przyjaciółek, u chrześcian, którzy cię wydarli z grobu twego. Odpocznij, dowiesz się o wszystkiem, gdy uzyskasz siły.

Marcya uścisnęła ręce swych wybawicielek,

ale osłabienie jej było tak wielkie, że nie mogła już dłużej prowadzić zaczętej rozmowy.

— Słuchaj, powiedziała Lea, nie możesz tutaj pozostać, gdyż wyzdrowienie twoje byłoby bardzo trudnem. Trzeba cię ukryć przed prześladowcami. Zaprowadzimy cię do Pudensa, ojca twej przyjaciółki; będziesz tam bezpieczną, a my będziemy mogły lepiej cię pielęgnować.

Natychmiast też wydano rozkazy chrześcianom znajdującym się równocześnie w katakombach i owiniętą w płaszcze zaniesiono Marcyę w lektyce Praksedy, która stała na polu ukryta; mały ten orszak udał się do pałacu Pudensa.

Wyzdrowienie Marcyi było powolne i trudne; przyśpieszyły je tylko troskliwe starania przyjaciółek, a przedewszystkiem gorące modlitwy, które Lea zanosiła do Boga, błagając o przywrócenie zdrowia młodej swej pani. Zbawiciel wysłuchał jej głosu. Pierwszem słowem Marcyi, skoro odzyskała zdrowie, było zapytanie: jakim sposobem wyrwano ją z tak straszliwej śmierci. Tutaj opowiedziała swą bojaźń, noc widzenia, myśli ostatnie, a nareszcie spotkanie swych przyjaciółek w podziemiu.

— Jak tylko dowiedziałyśmy się o twojem skazaniu, odrzekła Prakseda, powzięłam zamiar twego oswobodzenia. Od czasów prześladowań Nerona chrześcianie wykopywali sobie byli pod

ziemią tajne schronienia, to jest katakomby. Tam to w ciemnościach spełniamy obrzędy naszej wiary i chowamy braci umarłych za Chrystusa, tam też możemy czcić ich relikwie. Jeden z tych ganków ciągnie się do drogi Salaria, tuż obok miejsca, w którem twój grób wykopano. Daliśmy znać o tem braciom naszym; przyłączyli się do naszych usiłowań, i po długiem czekaniu jeden ze sług doszedł do sklepienia, które cię zamykało; znaleźliśmy ciebie tam prawie umarłą, przy lampie bezwątpienia dawno zagasłej.

Marcya słuchała opowiadania tego z wielkiem wzruszeniem i pochylając się na ramię przyjaciółki, poczem rzekła:

— Jesteście ludźmi nadzwyczajnymi, wy chrześcianie. Biedni, prześladowani, nie dajecie się bynajmniej pokonać; przeciwnie, jesteście silni i potężni względem tych, których kochacie; zawdzięczam wszystko szlachetnemu waszemu poświęceniu. — Cóż mam zrobić, aby wam godnie podziękować? Bogactwa moje nie starczyłyby na to.

— Zostań z nami. Podzielać będziesz nasze życie i zatrudnienia; zdala od świata nauczysz się poznawać Boga i Jego naukę, a objawimy ci Jego ustawy. Czy serce twoje jest usposobione do onych przyjęcia?

— Cóż trzeba czynić, żeby być tak szczęśli-

wą, jak ty, i żeby służyć tak dobremu Bogu?

— Trzeba uwierzyć i dać się ochrzcić, odpowiedziała Prakseda.

III.

Niezadługo też Marcya została policzoną w poczet katechumenek i od tego czasu kapłanka dawniejsza Westy wiodła zupełnie życie chrześcian, pośród których przebywała.

Rzym się jednak nie odmienił; został ten sam, rozpustny a okrutny, — pomimo żywiołu chrześciańskiego, który powoli wszędzie się rozpościerał. Byli tam chrześcianie niewolnicy, urzędnicy, żołnierze i kupcy; napotykano ich nawet aż w pałacu cezarów. — Marcya mieszkała ciągle w pałacu Pudensa. Ztamtąd wychodziła często na zgromadzenia chrześcian w katakombach. Codzień wzmagająca się wiara jej sprawiała, że coraz bardziej umiłowała tego, którego poznawała religię. Nareszcie przyjętą została do chrztu świętego i otrzymała Bierzmowanie; w kilka dni potem przystąpiła do Stołu Pańskiego.

Po tych dniach duchowej radości nastąpiło nowe, krwawe prześladowanie. Tytus nie panował długo, a Domicyan, brat, który po nim nastąpił, zapowiadał początek rządów okrucieństwa i sprawił, że poprzednie rządy uzyskały jeszcze nazwę „złotego wieku". — Edykt prześla-

dowania ogłoszony został w całem cesarstwie: przygotowano narzędzia zabójcze do straszliwego napadu na religię chrześciańską, a lud podburzony przez trybunów wydawał okrzyki nienawiści: „Chrześcian lwom na pożarcie!“

Marcya była na te wypadki przygotowaną; czasy spokojne i szczęśliwe, które dopiero co była przeżyła, zapełniała była modlitwą i dobremi uczynkami; nie pozwoliły jej one jednak zapomnieć o koronie męczeńskiej. Przypomniała sobie obietnice Tekli i Pryscyi, i niedługo też wzięła się do spełnienia obowiązków, jakie na nią wkładało nowe prześladowanie.

Dwie kobiety były wszędzie: w cyrku, Koloseum, na ulicach; zawsze zbierając starannie szczątki po męczennikach. Bądź to szukają świętych zwłok, które zanoszą do katakomb, bądź też postępują za biegiem Tybru, do którego prześladowcy wrzucili ciała chrześciańskie i błagają Nieba, aby światłem cudownem przyświecało ich poszukiwaniom. Pewnej nocy znalazła Pudencya ciała dwóch sióstr: Bibianny i Dyonizyi, umęczonych przez Domicyana, krewnych jego, który nie wahał się przelać nawet krwi królewskiej. Gdy Marcya podniosła trupy tych dziewic, ucałowała im z uszanowaniem ręce i zapragnęła gorąco pójść śladem tych świętych. Prześladowanie powiększało się coraz to bardziej i codzień

najdroższe imiona przybywały do już i tak długiego spisu męczenników.

— Moja siostro, rzekła raz Prakseda, otrzymałyśmy nareszcie pozwolenie zwiedzenia więzienia, w którem siedzi brat mój rodzony.

— Pójdę z tobą, odpowiedziała Marcya.

Nazajutrz o świcie dwie chrześcianki stanęły u bram Mamertyńskiego więzienia. Tłum innych pobożnych niewiast czekał tam już z niecierpliwością, oczekując chwili wpuszczenia. Wszystkie miały małżonków, braci lub krewnych w tem więzieniu. Jak tylko Marcya weszła do tego okropnego gmachu, uczuła, że dreszcz litości przeszedł jej przez członki.

Wystawcie sobie obszerną komnatę z niską posową i podłogą wilgotną, oświeconą tylko przez małe otwory, któremi powietrze nie mogło wcale się odświeżać. Tam zamkniętą była niezliczona liczba chrześcian, z których jedni już byli po mękach tortury i spoczywali skrwawieni na ziemi, tuż obok tych, których ten sam los dopiero miał spotkać. Pomiędzy tymi ludźmi jedni byli przykuci do ziemi ciężkim łańcuchem, który ich kaleczył, drudzy zanadto byli słabi, aby módz dźwigać kajdany; wszyscy zaś napominali się nawzajem do odwagi i wytrwałości.

Podczas gdy Prakseda zaopatrywała ranę jednego z męczenników, Marcya pochyliła się nad

młodzieńcem, ale już zestarzałym przez cierpienie, który miał nogi całkiem poranione. Gdy się właśnie schyla, gdy bada te rany głębokie, męczennik spojrzał jej w twarz i zawołał:

— Marcya! Moja siostra!

Bez powiedzenia słowa Marcya podniosła się i rzuciła w objęcia brata. Potem rzekła:

— A więc jesteś chrześcianinem, skoro cierpisz za Chrystusa?

— Módl się za mną, kochana Marcyo; za godzinę najpóźniej śmierć moja stwierdzi prawdę Jego nauki.

— Kościół cały ofiaruje modlitwy za swe dzieci, i łaska Boga nie opuści cię. Ale jakim sposobem zostałeś chrześcianinem i zkąd jesteś w Rzymie?

— Okręt, na którym opuszczałem miasto, żeby się udać do Azyi, rozbił się o skały Karmelu. Tam zostałem przygarnięty przez świętych pustelników, którzy mnie uczyli nauki Chrystusowej; otrzymałem tytuł katechumena i od tego czasu czekam spełnienia słów mądrego pewnego starca, który mi powiedział:

— Bądź wiernym aż do śmierci, mój synu; w Rzymie masz dać świadectwo wiary twojej w Jezusa Chrystusa.

— Opuściłem górę Karmel, aby zamieszkać w dolinach sąsiednich, gdzie było bardzo wielu

takich jak i ja nowych chrześcian, i tam dosięgło mnie prześladowanie, aby mnie zaprowadzić do ciebie. Teraz umrę szczęśliwy!

Marcya i Prakseda, która się do niego przybliżyła, płakały z radości, słysząc opowiadanie Sewera; tymczasem czas ubiegał i nie długo więzienia bramy zostały otworzone dla liktorów, którzy przychodzili po chrześcian, aby ich zaprowadzić przed sędziego. Naokoło trybunału było pełno ludu, co z niecierpliwością wyczekiwał chwili krwawego widowiska.

Sewer pierwszy stawiony został przed sędziego.

— Nazwisko twoje? zapytał sędzia.

— Nazywam się Sewer, a jestem chrześcianinem.

— Czy znasz edykt?

— Tak jest, znam go.

— Więc usłuchaj cesarza, ofiaruj kilka ziarn kadzidła bogom Rzymu, a będziesz wolnym.

— Nigdy!

— Rozważ dobrze, Sewerze. Jeżeli odmówisz, będzie to śmiercią twoją. W twoim wieku życie jest piękne; jeżeli uczcisz bogów, natenczas będziesz obsypany bogactwem i łaskami.

— Nigdy, powtórzył Sewer.

— To dobrze; tortury zmienią twoje zdanie. Dał znak katom, którzy rozciągnęli Sewera na

ziemi i za pomocą sznurów i wind szarpali członki jego z niesłychaną gwałtownością.

— Czy chcesz usłuchać?

— Nie mogę, odpowiedział męczennik.

—Przebijcie go rozpalonem żelazem i niech umiera, skoro odpycha życie i szczęście!

Sewer cierpiał dalej przed oczyma siostry, a ta dodawała mu ciągle odwagi, mówiąc:

— Niedługo uzyskasz palmę męczeńską i pójdziesz z rąk kata do niebios.

— Umrzeć, to dla mnie zysk! Otóż jestem; Panie powołaj mnie do siebie. I oddał ducha swego.

Marcya zdjęła zasłonę, rzuciła ją na ciało Sewera i zebrała krew, która płynęła z ran jego rozwartych.

— Co to za szalona, która mi urąga? zawołał sędzia.

— Jestem siostrą tego męczennika, i tak jak on chrześcianką.

— A wy którzy, ją otaczacie, czy także jesteście chrześcianami?

— Tak jest, wszyscy! zawołali z zapałem.

— Niech więc ich zaprowadzą do cyrku Flawiusza; tam zabawią lud.

Wieczorem dnia tego Prakseda, która nie stała na spisie skazanych, udała się wraz z Pudencyą i Nowacyuszem do Koloseum. Wszyscy tro-

je szukali świętych relikwii po przyjaciołach. Sewera poznali łatwo po pierścieniu na palcu; naokoło niego spoczywało mnóstwo biednych męczenników, których nazwiska nikt nie znał, lecz aniołowie zapisali je w niebie. Marcya padła po pierwszym razie i od pierwszej rany, a ciało jej odnaleziono pod krzesłami Westalek, na którem to miejscu dawniej sama była zasiadała. Prakseda uklękła przed temi dziewiczemi zwłokami swej przyjaciółki, owinęła ją swym płaszczem, aby ją przenieść do katakomb Pryscylii, gdzie ich z Sewerem w jednym złączono grobowcu. Jeszcze dzisiaj widzieć można napis z następującemi słowy:

Tutaj spoczywa snem spokojnym Marcya,
pochowana 12 *kwietnia.*

Prakseda i Pudencya niezadługo poszły za swojemi przyjaciółkami; padły ofiarą prześladowania po długich pracach miłosierdzia i miłości bliźniego, oddawszy wprzód niezliczone usługi Kościołowi świętemu.

OBRONA ❋ CZĘSTOCHOWY.

I.

Pomiędzy Częstochową, a zamkiem Olsztyna, rozciągał się w półkole las świerkowy z modrzewiem męszany i ztąd zwany Ciemny Bór. Miał obwodu dobre pół mili; otaczały go błota, które w zimie nawet w czasie tęgich mrozów nie zamarzały, podsycane ciągle bijącemi zdrojowiskami.

Jedna tylko drożyna dostępna wiodła do środka boru, którą w największych topieliskach przerywała grobla sypana, z trzema w długich odstępach mostami. Zrzuciwszy te mosty, mieszkańcy Ciemnego Boru mogli spać spokojnie, w czasie licznych najazdów nieprzyjaciół, bo tylko ptak jeden mógł przelecieć po nad temi niezgłębionemi bagniskami.

Za tą groblą, o staj kilka, wznosiła się stroma góra, z tej strony skalista, z białego wapienia. Na jej szerokim szczycie stał dwór obszerny, z czterema wieżycami, grubym murem otoczony. Most zwodzony na grubych łańcuchach, codziennie po zachodzie słońca podnoszony, zamykał warowną bramę. W obwodzie murów mieściły się ukryte zabudowania gospodarskie.

Od lat dawnych ta osada należała do stare-

go rodu Morawickich herbu Topór, a obecnie była własnością Jakóba Morawickiego, który z województwa krakowskiego przeniósłszy się w tę okolicę, przed kilkunastu laty, nabył Ciemny Bór i w nim z liczną rodziną swoją osiadł.

Było to w roku 1655. Król szwedzki, wylądowawszy na ziemię polską, rzucił postrach na kraj cały. Zajął Warszawę, a po kilku tygodniach oblężenia, opanował starożytny Kraków.

Cała Polska uległa przemocy oręża szwedzkiego. Wojsko rzeczypospolitej poddało się Karolowi Gustawowi, król Kazimierz na obcej ziemi tułacz — szlachta znosiła Szwedów. Król szwedzki rozumiał się już wielowładnym panem całej Polski.

Jeden tylko klasztor warowny na Jasnej Górze Częstochowskiej był swobodny, do którego uciekała szlachta z rodzinami, szukając ochrony przed łupieztwem Szwedów.

Przeor ks. Kordecki z gorącą wiarą, jakby blizką przyszłość odgadywał, postanowił się bronić przeciw Szwedom.

Siedmdziesięciu dwóch zakonników, sto pięćdziesiąt szlachty i żołnierzy, a przytem garstka ludu ze wsi poblizkich, stanowiło cały zastęp obrońców. Ale klasztor miał grube mury, warowne bramy, armaty, broń palną i dostatek amunicyi.

Niedługo i tu zawitali Szwedzi, żądając otworzenia bram klasztoru częstochowskiego. Ks. Kordecki odmówił im pozwolenia wnijścia. Nadciągnął więc zaraz jenerał szwedzki Miller w 10,000 regularnego wojska (na owe czasy ogromna siła), zatoczył ciężkie działa i posłał rozkaz poddania klasztoru i otwarcia bram warownych.

Byli na on czas w Częstochowie Stefan Zamojski miecznik sieradzki i Piotr Czarniecki, brat stryjeczny Stefana; ci jako świadomi sztuki rycerskiej, wielką byli pomocą dla przeora księdza Kordeckiego.

Wszyscy byli właśnie na nieszporach, gdy przyniesiono rozkaz jenerała Millera.

Ksiądz Kordecki klęczał przy ołtarzu, gorące modły niosąc przed obrazem cudownym. Kiedy przeczytał pismo, padł krzyżem, a gdy wstał, oczy miał pełne łez i blade oblicze.

Pan Czarniecki stanął przy nim i pytał:

— Jakież rozkazy wasze?

— Nie mam żadnych, odrzekł poważnie, pomnijcie, że Szwed chce zdeptać święte miejsce i zbezcześcić je. A więc wybierajcie: śmierć lub poddanie!

Tu pochwyciwszy krzyż do ręki, podniósł go w górę i zawołał krzepkim głosem:

— Bracia! którzy nie chcecie dzielić naszej krwi i trudów, oddalcie się, bo tu sami wybrani

i poświęceni na śmierć będą obrońcami cudownego miejsca. Mów! kto chce odejść?

Nie znalazł się żaden, wszyscy klęczeli a dobywszy szabel zaprzysięgli obronę.

Ksiądz przeor wtedy wyszedł z kościoła i dał odpowiedź godną dumy Millera. W tę chwilę zagrzmiały szwedzkie działa, świsnęły kule, a na wieży kościelnej zabrzmiała kapela miejscowa, przygrywając hymn na cześć Najświętszej Maryi Panny.

Było to dnia 19 listopada 1655 r. Snieg pruszył i stanęła gruda; w gęstych zastępach szli Szwedzi z drabinami wdzierając się na mury.

Jak duchy anielskie w białych habitach, Paulini, głosem i ręką zachęcając, spychali wdzierających się na czele. Dzidy i szable, wrząca woda i smoła, ciężkie kłody drzewa i ogromne kamienie, tem się bronili oblężeni.

Na wyłomie zrobionym przez ciężkie działa szwedzkie stał przeor Kordecki: w ręce wzniesionej trzymając krzyż z Chrystusem.

Kaptur nie zakrywał mu oblicza: stał z gołą głową. Wlepiwszy oczy na spadające pod jego nogami szeregi zażartych Szwedów, wielkim głosem nawoływał do siebie obrońców grodu świętego, gdy ujrzał, że w miejsce powalonych zastępów, nowe nadbiegały, depcząc trupy swoich towarzyszów, z ich ciał robiąc sobie wysokie wały

i schody do łatwiejszego wdzierania się na mury klasztorne.

Szalony zapał rozgrzewał te roje Szwedów; biegli na śmierć pewną, a nie cofali się wcale.

Głos Kordeckiego górował nad straszliwym hukiem dział, ogniem ręcznej broni i wrzawą wojenną; grzmiał tak donośnie, jakby trąba archanioła.

Noc przerwała krwawą bójkę. Zmordowani prawie całodzienną walką obrońcy Częstochowy legli na spoczynek, wycieńczeni trudem, głodem i pragnieniem. Ale czuwał między nimi dzielny Piotr Czarniecki.

Ten widząc klęskę szwedzką i zniechęcenie w ich wojsku po odparciu kilku szturmów, dobrał sobie ochotników sześćdziesięciu, uzbrojonych to w szable dobrze szlifowane, to w ostre kosy i równo z brzaskiem dnia tajemnie zrobił wycieczkę z klasztoru.

Cały zastęp walecznych wybrańców, w największej cichości, szedł za swym wodzem, który każdego z nich wzrostem przenosił o całą głowę, a siły był tak wielkiej, że niedźwiedzie mógł dusić.

Kiedy się podsunął blizko pierwszej czaty szwedzkiej, dał znak, a oddział jego stanął w milczeniu grobowem. Sam podpełzał na brzuchu, potem zerwał się, ciął szablą, a żołnierz szwedzki

bez wydania jęku padł trupem. Tak pozbierał wszystkie czaty po drodze i wprowadził swój zastęp w sam środek obozu szwedzkiego.

Wtedy zabrzmiał Czarniecki gromkim głosem:

— Naprzód wiara! w pień wycinaj!

A towarzysze jego odpowiedzieli umówionem hasłem: ,,Jezus Marya'' i rozpoczęli rzeź straszną wśród uśpionych Szwedów.

Na odgłos trwogi w obozie, jenerał Miller wybiega odurzony ze swego namiotu: w przestrachu każe trąbić do boju, ale wszystko drży bojaźnią.

Hrabia Horn staje przy armatach, ale nim dał komendę do strzałów, Czarniecki jednem cięciem szabli ściął mu głowę jak mieczem.

Słońce poczęło z góry częstochowskiej przyświecać. Czarniecki daje hasło swoim do odwrotu; przerażeni Szwedzi nie śmią ich ścigać; bohaterski zastęp, wraz ze swym wodzem, nie straciwszy ani jednego towarzysza, szczęśliwie wrócił do klasztoru.

Równo z pierwszym promieniem słońca, na kościelnej wieży, kapela zabrzmiała pieśń na cześć Najświętszej Maryi Panny, której śpiewem zawtórowali waleczni towarzysze Piotra Czarnieckiego, dziękując za pomyślną wyprawę.

Działa szwedzkie — umilkły na ten dzień cały.

II.

W wielkiej narożnej izbie, w baszcie murowanej Ciemnego Boru, siedziała zapłakana Anna Morawicka, małżonka Jakóba, który, na odgłos wkroczenia Szwedów do Polski, z szesnastoletnim synem i kilkunastu ochotnikami ruszył na obronę nieszczęśliwej ojczyzny. Przy niej siedziała smutna Katarzyna, córka czternastoletnia i pięcioletni syn Stanisław.

Wieczór był grudniowy. — Zawieja śnieżna niedawno ucichła, jeszcze od czasu do czasu dochodził odgłos poświstu wichru zimowego, od strony lasów. Niebo wyiskrzyło się gwiazdami, mróz brał coraz silniejszy.

Mały Stasio zasnął u nóg matki; Katarzyna zajętą była szyciem bielizny. Pani Morawicka co chwila spoglądała przez okno baszty, czy nie ujrzy kogo drogą od grobli, przynoszącego jaką wiadomość.

Od dni kilku, od strony Częstochowy, echo odbijało o Ciemny Bór straszny huk dział szwedzkich, które niosły śmierć i zniszczenie w gród święty. Kilka miesięcy upłynęło od wyjazdu męża i syna Władysława na wyprawę wojenną, a

żadna wieść do niej nie doszła, czy żyją czy zdrowi?

Pan Jakób, opuszczając dom i rodzinę, zlecił opiekę i obronę krewniakowi swemu, sędziwemu Piotrowi Zarembie, dawnemu towarzyszowi husarskiej chorągwi króla Władysława IV. Ten, jako doświadczony wojak, zebrał silny zastęp tak z poblizkiej szlachty jak i włościan, co uciekali przed Szwedami i utworzył hufiec zbrojny, dostateczny aby obronić Ciemny Bór.

Jedyną drogę wiodącą do obronnego dworu opatrzył zasiekami z drzewa i osadził silną załogą.

Kiedy Szwedzi oblegli klasztor częstochowski, oddział jazdy, za żywnością dotarł do Ciemnego Boru, ale tak go dzielnie Zaremba powitał, że dwudziestu zostało na polu, reszta uciekła w popłochu. Broń poległych ozdobiła ściany dworu Morawickich, dwanaście zdrowych koni rosłych zajęło puste stajnie.

Zginął w tym napadzie starszy Szwedów przywódzca; hełm jego ozdobny, pancerz wybijany złotem i szablę kosztowną, zawiesił Zaremba nad łożem p. Jakóba. Gdy niedobitki z tego oddziału nadbiegły z przestrachem do obozu, jenerał Miller, po doniesieniu o niepomyślnej wyprawie, uniesiony gniewem, chciał wysłać silny oddział wojska z piechotą i działami, aby zdobyć i zburzyć to buntownicze gniazdo, ale Pola-

cy będący przy nim uspokoili jego zawziętość objaśnieniem, że chcąc opanować Ciemny Bór musiałby z całą armią ruszyć z pod Częstochowy, a i wtedy wątpliwa rzecz, czy potrafiłby tak obronne od natury miejsce łatwo zdobyć. Odłożył więc zemstę swoją na później.

Zaremba przez cały czas od wyjazdu p. Jakóba rzadko kiedy pokazał się we dworze, bo jako sumienny dowódzca strzegł pilnie jedynej drogi, którąby się mógł wedrzeć nieprzyjaciel.

Kiedy jednakże od dwóch dni umilkło od strony Częstochowy, gdy wysłani na zwiady nie ujrzeli nigdzie Szwedów, siadł na konia, a zdawszy dowództwo Mateuszowi Dąbrowie, staremu wojakowi z pod Olsztyna, ruszył żwawym kłusem i wkrótce stanął właśnie we dworze, gdy tak smętnem okiem Anna Morawicka poglądała na samotną drogę.

Przybycie jego uradowało samotną rodzinę. Staś zerwał się na nogi i biegł z uściskiem do Zaremby, który porwawszy go na ręce przytulił do stalowego pancerza.

— Cóż tam słychać, panie Piotrze? zapytała powstając Anna i podając mu rękę.

Zaremba ucałowawszy podaną rękę, odrzekł wesoło:

— Wszystko dobrze miłościwa pani: Szwedzi już nie śmieli zajrzeć do nas, jakeśmy ich raz

a dobrze pokropili święconą wodą. Od świętego klasztoru wszystko ucichło, nie słychać armat. Przed paru godzinami, jeden z wysłańców naszych nadbiegł z wieścią, że jakiś oddział naszej jazdy uderzył na obóz, słychać było ogień rusznic, ale już ucichło. Albo nasi się cofnęli... albo....

— Albo zginęli! zawołała pani Anna, załamując ręce i wznosząc w górę oczy załzawione.

— Wojna nie pieści, odrzekł pochmurno Zaremba; płynie tam krew jak woda, bo gdzie drwa rąbią, tam lecą drzazgi.

Pani Anna z córką spojrzały w okno baszty i razem krzyknęły. Zaremba niespokojnie rzucił okiem, a przy jasnem świetle księżyca i pogodzie mroźnej ujrzał na drodze do dworu dziwny obraz.

Na saniach drabiniastych chłopskich, zaprzężonych w jednego konia, leżał jakiś wojownik burką okryty; powoził mały chłopczyna. Obok sani szła wysokiej postaci, łachmanami okryta i podartym kożuchem, niewiasta z głową obwiązaną czerwoną chustą, grubym kijem podpierając się jakby z umęczenia.

Poznała ją pani Anna, bo wybladła smutnem przeczuciem zawołała:

— To stara nasza Konstancya, żebraczka z

klasztoru częstochowskiego: ale kogoż rannego, czy zabitego wiozą?

I serce jej zabiło gwałtownie, a na ustach zamarły słowa.

Zaremba prosił, aby się uspokoiła w trwodze, a sam zbiegł co rychlej na drogę z dworską służbą.

Sanie już do bramy zwodowej dojeżdżały. Konstancya, znana z odwagi i śmiałości, już w sędziwym wieku, zamieszkawszy w jaskini góry częstochowskiej, służyła nieraz za posła księdzu przeorowi Kordeckiemu, a po każdym szturmie przynosiła w fartuchu kule armatnie Szwedów odbite od murów, ażeby je dzielni obrońcy napowrót wystrzeliwali w obóz nieprzyjacielski. Wszyscy ją znali w całej okolicy — wszyscy szanowali. Ale jak się tu dostała i kogoż przywozi?

Dworzanie otoczyli sanie i chcieli przenieść rannego rycerza: Konstancya kazała im odstąpić.

— Nie było was na polu bitwy, gdzie ten waleczny młodzian padł, chcąc ratować nasz święty klasztor — uniosłam go z pośród Szwedów na moich rękach i teraz potrafię zanieść to pisklę do gniazda.

To mówiąc, ostrożnie uniosła omdlałego wojownika z sani, a gdy uchyliła się burka, Zaremba z przerażeniem ujrzał blade oblicze młodego

Władysława Morawickiego, krwią zbroczone. Poznali go i dworzanie, a każdy wyszepnął z cicha: ,,to nasz panicz kochany.“

Zaremba pospieszył co rychlej do dworu, aby przygotować matkę i siostrę do smutnej wiadomości. Obie zapłakane zbiegły na ganek, gdzie wniosła Konstancya rannego. Ostrożnie złożyła go w poblizkiej komnacie na łożu, a ksiądz kapelan z Zarembą, usunąwszy wszystkich, zajęli się jego opatrzeniem.

Rozebrali go ze zbroi i sukni. Odebrał cięcię przez czoło szablą, a kula z rusznicy przeszyła lewe biodro. Obie rany już były obwiązane przez Konstancyę; Władysław omdlał z ubiegu krwi wielkiego.

Wkrótce odzyskał przytomność — a radość napełniła dwór cały. Matka z córką przyszły od rannego do sali, gdzie zmęczona stara żebraczka odpoczywała wygrzewając zziębłe kości od zimna.

Matka, gdy Konstancya powstała, rzuciła się jej w objęcia z płaczem; córka uklękła i ze złożonemi rękoma jakby do modlitwy, nie mogąc słowa przemówić dziękowała.

Stara ucałowała ręce pani Anny, które jej nieraz sutą dawały jałmużnę, a zwracając się do klęczącej Katarzyny, wzniosła nad jej głową wychudłe ręce i przemówiła:

— Niech Bóg i nasza Matka Boska Często-

chowska, która broni naszego klasztoru, błogosławią was, droga panienko! Uczciliście mój włos siwy i stare lata — to wam Pan Bóg odpłaci. Nie macie za co dziękować, zrobiłam com powinna była — ale z tej krwawej bitwy tylko jego jednego uniosłam.

Potem Katarzyna usiadłszy przed ogniskiem zaczęła swoją powieść.

,,Już słońce zbliżało się ku zachodowi, gdy mnie ksiądz przeor wysłał z listami do obozu szwedzkiego. Puścili mnie te Szwedziska, bo znają dobrze. Kiedym oddała komu należy papiery, nagle powstał okrzyk i gromada naszych konnych uderzyła, rozbijając i pędząc przed sobą spłoszonych Szwedów. Na jej czele z wyniesioną szablą leciał na siwoszu młody rycerz — a ja w nim poznałam panicza z Ciemnego Boru. Rąbał strasznie, kiedy z nagła z boku uderzyła jazda Szwedów i naszych odparła. Bronili się dzielnie, ale tłum ich nacisnął. Stałam na wzgórzu i widziałam wszystko. Po chwilce, zobaczyłam na śniegu zbroczonego krwią panicza, siwosz bez jeźdzca poleciał jak wicher do Ciemnego Boru, reszta naszych uchodziła, jak który mógł z pogromu. Czekałam. dopóki Szwedy nie odbiegli, wtedy jedne z sań co woziły żywność do obozu zawróciłam. opatrzyłam rany i ruszyłam drożynami do granicy Ciemnego Boru. Pan Dąbro-

wa poznał mnie i przepuścił przez zasieki, tak pızybyłam do państwa. Pani i panienka niech nie płaczą, panicz niedługo będzie zdrów, bo ja znam się na ranach. Jak oprzytomni, to opowie, gdzie nasz starszy pan teraz bawi, bo wiem, że zdrów i żyje.“

— Żyje! zawołały radośnie matka i córka i padły przed obrazem Boga-Rodzicy, z gorącą modlitwą dziękczynną.

Stara żebraczka uklękła za niemi, oparła głowę na sękatym kiju i z cicha odmawiała pacierz.

III.

Nazajutrz zarówno ze świtem odwieziono Konstancyę aż pod obóz szwedzki; przeszła go swobodnie i dostała się w mury Częstochowy szczęśliwie. Zaremba sam jej towarzyszył do ostatniej granicy Ciemnego Boru. Nakazawszy czujność straży przedniej, wrócił co rychlej dc dworu, pragnąć się dowiedzieć o stanie zdrowia Władysława.

Przyszedł już do przytomności — oddech miał swobodny; młodość prędko się sama leczy. Łoże jego otaczali matka, siostra i siwy Zaremba.

Opowiedział zebranym, że ojciec zdrów jest przy boku króla, że Jan Kazimierz wrócił szczęśliwie w granice Polski — że rycerstwo gromanie zbiega się pod jego chorąg iew.

— Chwała Bogu! dodał stary Zaremba.

Mówił dalej w przerwach, jak ojciec wysłał go z oddziałem jazdy, aby się przedarł do Ciemnego Boru i doniósł matce o wszystkiem. Szczęśliwie przebył całą drogę, gdy pod Częstochową napadł go oddział jazdy szwedzkiej. Uderzył śmiało, rozbił, a uniesiony gorącem walki, zamiast w lewo, ku stronie Ciemnego Boru, zmylił drogę i wpadł w sam środek prawie obozu szwedzkiego. Wtedy ranny spadł z konia, towarzysze jego rozbiegli się, a jego uratowała Konstancya.

Kiedy kończył swoje opowiadanie, jeden z parobków wiejskich dał znać, że przywieziono siwka. Radość rannego młodzieńca była wielką, twarz ożywiła się rumieńcem.

— Mój siwek! poczciwy siwek! co to za dzielny koń, mówił z uśmiechem wesela; dzięki Bogu, że wrócił.

Ale siwek był ranny w szyję od cięcia pałasza. Co rychlej sam Zaremba go opatrzył, wprowadzono go do stajni. Jak ujrzał swój żłób i zagrodę, zarżał radośnie.

Nad wieczorem Dąbrowa przysłał od zasieki jednego ze zbrojnej szlachty do Zaremby, który mu doniósł, że Szwedzi gotują się na straszny szturm do Częstochowy; że sprowadzono ciężkie działa i moździerze aż z pod Krakowa; że

pan Czarniecki wzywa pomocy dla świętego klasztoru, a ksiądz przeor Kordecki, wraz z panem Zamojskim miecznikiem, rozpisali listy po kraju.

Zaremba długo w noc naradzał się z Władysławem, a nazajutrz wysłał znowu na zwiady pod mury Częstochowy.

Na trzeci dzień dopiero wrócił posłaniec. Zaremba wprowadził go do sypialni rannego i drzwi na klucz zamknął. Obadwaj z przerażeniem usłyszeli o strasznych przygotowaniach szwedzkich dla zdobycia klasztoru.

Stary wojak upadał w nadziei, żeby Częstochowa się mogła obronić.

— Alboż nie żyjemy w czasach cudu i widocznej opieki Bożej! zawołał Władysław podnosząc się z łoża. Swięty klasztor odeprze Szwedów, a my przed ołtarzem Boga-Rodzicy sami korne poniesiem podzięki.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia Pani Anna z córką robiły wcześnie przygotowania do wigilii, uradowane coraz lepszem zdrowiem Władysława i pewnością, że ojciec żyje.

W obozie szwedzkim ruch niezwykły. Jedni mówili, że mają się do odwrotu, drudzy, że przygotowują szturm straszliwy. W klasztorze wiedziano o nim, ale ufność i odwaga nie opuściły obrońców na chwilę. Jeżeli u Szwedów ro-

biono pilnie przybory, w Częstochowie przygotowano się dobrze na ich przyjęcie.

Równo ze świtem dnia posłyszały czaty nasze z murów klasztornych gwar cichy, a niedługo huknęły ciężkie działa i moździerze szwedzkie, aż ziemia i kościół cały się zatrzęsły. Był to dzień sądu i ognisiej próby!

Huk tych ogromnych armat rozległ się po całej okolicy; odbił się o Ciemny Bór. Usłyszawszy grom ten artyleryi nieprzyjacielskiej, zerwał się co żywo z łoża Władysław, co rychlej ciepło się odział, obwiązano mu rany nieco przygojone, wsiadł na swego siwosza i ruszył galopem do zasieki, gdzie czuwał przez noc całą Zaremba z Dąbrową. Radośnie powitali starcy młodego wojownika.

Rósł na wyniosłem wzgórzu wśród błota olbrzymi modrzew, który kilka wieków pamiętał. Na rozkaz Zaremby, jeden z dzielnych parobczaków wydostał się na wierzchołek, zkąd widać było całą okolicę. Niedługo zręcznie się zsunął i opowiedział, że się straszny szturm rozpoczął, a klasztor zasłania mgła jakaś i dymy z armatnich strzałów.

Straszliwy huk dział nie ustawał na chwilę: drżały drzewa w Ciemnym Borze.

Pani Anna z córką, synem i domownikami, klęczała przed obrazem Matki Boskiej, wzywając

pomocy niebieskiej dla ocalenia świętego klasztoru.

Obrońcy Częstochowy, jako wybrany zastęp Boży, przygotowali się wcześnie na śmierć. Każdy z nich stał na stanowisku swojem opatrzony Sakramentami, każdy odebrał ostatnie namaszczenie Olejem świętym. Żołnierze natarli według starodawnego obyczaju poświęconymi szkaplerzami szable i rusznice do tej krwawej roboty. Każdy już oczyszczony, wzniósł ducha do nieba, a błagał Boga, aby ciało nie osłabło w siłach w obronie cudownego miejsca.

Kapela klasztorna i w dniu tym, jak codziennie, równo z zorzą zabrzmiała, a dziatwa i niewiasty w kościele wznosiły hymn święty.

Chmary Szwedów wolnym marszem zbliżały się w porządnych hufcach i z piekielnym zapałem pną się na mury. Od dymu nie widać było słońca, co krwawo wschodziło, jakby przepowiednia, że niedługo krew rzeką popłynie. Wre bój zażarty — secinami spadają z drabin Szwedy i napowrót wychylają zajadłe po nad mury oblicza.

Wtedy, gdy po kilkagodzinnej walce, obrońcy świętego grodu upadali z zemdlenia i trudu, ksiądz przeor Kordecki na czele trzydziestu zakonników i dwudziestu szlachty, kmieci i towarzyszów, powiewając chorągwią Matki Boskiej, przypada w zagrożone miejsca. Hufiec ten wspiera

chwiejących, przeor okrzykiem zachęca, a w tę chwilę gdy nadbiegł, wprost kaplicy Boga-Rodzicy stał się cud widoczny, bo kule z dział wielkich, odbite od murów cudownego grodu, wracały na Szwedów i zabijały bezbożnych, to też nowe siły każdy z obrońców poczuł w sobie i dotrzymał stanowiska, chociaż krwią i potem oblany.

Przed zachodem słońca jenerał Miller dał Szwedom hasło do odwrotu.

Ksiądz przeor Kordecki padł wówczas na kolana na wyłomie największym murów klasztornych, gdzie najstraszniejsza walka wrzała, gdzie najwięcej krwi przelano. Zwrócony obliczem do kaplicy Boga-Rodzicy, podniósł sztandar wysoko, a potem pochylił go ku ziemi, jakby składając go w ofierze; — sam padł krzyżem. Zamojski i Czarniecki z garstką bohaterskich obrońców poszli za jego przykładem. Grobowe milczenie przerwała kapela, zabrzmiawszy na anioł pański, pieśń pozdrowienia!

* *
*

W Ciemnym Borze, przy zasiekach, stał w pogotowiu pod bronią zastęp pod wodzą Zaremby i Dąbrowy. Kiedy nagle ucichły strzały armatnie, a następnie zaległa cisza, strasznie zbladły Zaremba schwytał za rękę Dąbrowę i wyszepnął z cicha:

— Wszystko skończone! Wzywajmy teraz miłosierdzia Bożego. Klasztor musieli Szwedzi zdobyć, że tak cicho — a wrzawy ich zwycięzkiej tutaj nie dosłyszymy.

— Co mówicie, panie Piotrze, odparł Dąbrowa przerażony, raczej Szwedzi odstąpili od murów klasztoru.

— Daj to Boże! ale w takim razie, usłyszelibyśmy choć kilka armatnich strzałów z Częstochowy, coby im zagrali podjezdnego.

W tę chwilę, w pełnym galopie na siwku przybiegł Władysław, za nim dworscy przywiedli zdobyte konie szwedzkie osiodłane.

— Co się dzieje ze świętym klasztorem?

— Nic nie wiemy — ale zaraz się dowiemy.
— Jaśku Krzeptak, zawołał na pastuszka bydła a celnego strzelca, dalej na drzewo, a wracaj i gadaj. Masz oko sokole, to zobaczysz wszystko dobrze!

Chłopak wezwany położył strzelbę i torbę, zrzucił kożuch i w sukmance wdarł się na wierzchołek modrzewiu.

Słońce schylało się właśnie ku zachodowi, klasztor częstochowski ozłacało swym blaskiem. Dymy z ognia armatniego i rusznic zbiły się w gęstą chmurę i zawisły nad obozem szwedzkim. Armia szwedzka już znikła z równiny. — Szczupły hufiec tylnej straży cofał się powoli.

— Zwycięztwo! krzyknął z wierzchołka modrzewiu Jaśko i począł zsuwać się z drzewa, a gdy opowiedział co zobaczył:

— Na koń co żyje! zawołał Władysław, teraz pora do rycerskiego tańca.

Zaremba nie rzekłszy słowa, dosiadł wierzchowca swego, zostawiając piechotę pod dowództwem Dąbrowy.

Czterdziestu jeźdźców wysunęło się dobrym kłusem z Ciemnego Boru i jak piorun wpadło na oddział uchodzących rajtarów szwedzkich. Walka była krótką. Przerażony nieprzyjaciel nie dotrzymał pola, część legła, do sześćdziesięciu zabrano z końmi do niewoli.

Kiedy pierwsza gwiazdka zabłysła na niebie — we dworze Ciemnego Boru zastawiono staropolskim obyczajem na sianie wigilię. Pani Morawicka łamała opłatek z domownikami, z synem, Zarembą i zwycięzkim oddziałem jezdnych. Dąbrowa stał przy zasiekach i przy rozpalonem ognisku dzielił się ze swymi czatownikami opłatkiem.

Nazajutrz w sam dzień Bożego Narodzenia otwarły się po dwumiesięcznem oblężeniu bramy klasztoru częstochowskiego. Młody Władysław z Zarembą i oddziałem jazdy swojej przybył pod jednę bramę, wiodąc niewolników szwedzkich których oddał jako prezent księdzu przeorowi

Kordeckiemu. W murach klasztoru panowała radość i wesele, kapela zabrzmiała pieśń dawną: Anioł pasterzom mówił.

Przeor Kordecki uściskał serdecznie młodego Morawickiego wraz z Czarnieckim i Zamojskim; dla matki i siostry podarował szkaplerze i różaniec, dla małego brata kilka obrazków.

Dopalały się szałasy w obozie szwedzkim, gdy wracał Władysław do Ciemnego Boru. Tegoż dnia szlachta i włościanie co szukali ochrony pod opieką warowną Morawickich, pewni ucieczki Szwedów, rozeszli się do swych domów.

W tydzień, ukazał się silny zastęp husarzy i pancernych — wiódł tę chorągiew poważny Jakób Morawicki, pan Ciemnego Boru. Złożywszy modły u stóp Boga-Rodzicy w Częstochowie i hołd a cześć księdzu przeorowi Kordeckiemu i bohaterskim obrońcom, przybył do swego dziedzictwa.

Dzień to był godowy, pełen radości i wesela, gdy chorągiew ta wjechała do dworu Ciemnego Boru. Pani Anna z płaczem rzewnym rzuciła się w objęcia tak długo niewidzianego małżonka, dziatwa na klęczkach go powitała. Uściskał serdecznie Zarembę i Dąbrowę, pozdrawiał każdego z wojaków, szlachtę i kmieci, co stanęli do obrony Ciemnego Boru. Cały dwór napełnił się przybyłymi gośćmi. Zastawiono w obszernych

komnatach stoły, a przy sutej uczcie, pan i gospodarz wzniósł pierwszy toast, za pomyślność a zarazem za szczęśliwy powrót króla Jana Kazimierza.

K. Wł. W.

DWAJ BRACIA LITWINI.

Na Litwie, niedaleko Grodna, mieszkał chłop nazwiskiem Ciwuń. Miał on trzech synów: Szymona, Jana i Jakóba, a wszyscy już dość podrośli, tak, że najmłodszy Jakób miał lat szesnaście. Ojciec wielką miał z nich pomoc w gospodarce i pociechę na podeszłe swe lata. Cieszył się też starowina z swych dzieci i już sobie na przyszłość marzył, jaki to z Szymka będzie gospodarz a z Janka organista. Tylko nie wiedział jeszcze, co z Jakóbkiem zrobić, boć dwóch synów na małem gospodarstwie trudno umieścić.

— Ha! Bóg da, że i on nie zginie, myślał sobie nieraz stary Ciwuń.

Było to w miesiącu maju, gdy stary Ciwuń z trzema synami wracał nad wieczorem z cmentarza do domu, kiedy zdaleka dał się słyszeć tętent koni, a potem szczęk pałaszy. Był to oddział husarzy polskich, który do wsi się zbliżał. We wsi żołnierze zajechali wprost do dworu, a kupki ludzi stały przed wrotami chałup i pytali jeden drugiego: co znaczy to wojsko we dworze? Niedługo ludzie dworscy roznieśli wiadomość po wsi, że pan hetman litewski Pac rozsyła po całej Litwie wiadomość, iż król polski ma wyciągnąć na Turków i dla tego wzywa wszystką szlachtę, aby się pod chorągwie wojewódzkie co rychlej

zbierała, a nawet dozwolono i chłopów przyjmować na ochotnika.

Niedługo dziedzic zwołał starszych z gromady do dworu i powiedział im, o co rzecz idzie. Zawołano potem przede dwór parobczaków z gromady i pytali się ich starsi: czy chcą bronić ojczyzny, czy chcą wyciągnąć z wojskiem na Turka i Tatara? Wtedy najprzód wystapił osiwiały Ciwuń, a za nim trzech synów i tak się odezwał:

— Gdybym był młodszym, to i jabym nie pożałował swojego życia na obronę tej ziemi kochanej, co nas żywi i odziewa. Toć przyjmijcie panowie pod chorągiew moich synów, a ja wam ręczę, że z Turkiem żartować nie będą.

— Poczciwy Ciwuniu, odezwał się dziedzic, wyście już starzy, niepodobna więc, żebyście się całkiem podpory na starość pozbyli.

— Toć tam na wojnach nie wszyscy giną, zresztą Jakóbek jako najmłodszy niech przy mnie zostanie.

Zapisano tedy Szymka i Janka do wojska polsko-litewskiego, a za nimi i kilku innych parobczaków.

Nazajutrz, po mszy świętej, ojciec pobłogosławił Szymka i Janka, dał im poświęcane szkaplerze na drogę i rozpłakał się rzewnemi łzami, gdy ich zobaczył odjeżdżających z jednym husarzem do Grodna, gdzie hetman litewski, czyli

wódz, zbierał oddziały i ćwiczył je w mustrze. — Tymczasem oddział jazdy husarskiej wyruszył dalej, aby i po innych wioskach i miastach zbierać zdatnych do boju.

W dawnych czasach polskich głównie tylko panowie i szlachta stawali w szeregach konno i bili się z nieprzyjacielem. Chłopów rzadko kiedy używano do bitwy, ale mieli oni dużo zatrudnienia w obozach; używano ich na woźniców do wojskowych wozów, lub wreszcie służyli swym panom i mieli o ich koniach i uzbrojeniu staranie. Posługaczów obozowych zwano u nas ciurami. Każdy z nich miał pałasz przy boku, a nawet mógł mieć pistolet za pasem, lub dzidę w ręku.

Często się zdarzyło, że takie ciury, gdy trzeba było, biły się z wrogiem i nieraz mu dobrze za skórę zalazły; ale działo się to chyba w wielkiej trwodze, gdy nieprzyjaciół zanadto wiele było. Czasem też ciury owe, gdy się niesforność pomiędzy nich wkradła, dużo bigosu i swoim narobili, jak to za króla Zygmunta III się stało w czasie klęski pod Cecorą, gdzie dzielny hetman Żółkiewski padł pod mieczem tureckim.

Wojskiem litewskiem dowodził hetman Pac, gdy Ciwuniowie wyciągnęli na wojnę. Litwini

z ochotą pod jego chorągwie się zbiegali i byłby wystawił ogromne wojsko, gdyby nie to, że przyszedł nagle rozkaz od króla, aby bez najmniejszej odwłoki wyciągnął w drogę i spiesznie pode Lwów na Ruś czerwoną, dzisiejszą Galicyę, zdążał. W ten sposób pan hetman zebrał zaledwie dziesięć tysięcy wojska i z niem pospieszał tam, gdzie król rozkazał. Z drugiej strony i król Jan Sobieski nadciągnął i oba wojska ruszyły razem ku Podolowi. Był tam już strach wielki pomiędzy ludem. Sułtan turecki posłał na Polskę wezyra, czyli wielkiego wodza swojego, Ibrachima, którego wszyscy nazywali szatanem dla tego, że był czarny na licu jak węgiel i miał duszę jak zły duch. Prowadził ze sobą sześćdziesiąt tysięcy Turków i sto tysięcy Tatarów. Zdobył on już piękne podówczas polskie miasta: Zbaraż, Buczac, Podhajce; palił po drodze siedziby wylęknionych mieszkańców, wyrzynał lud, lub w jasyr czyli do niewoli zabierał. W końcu ten szatan obległ miasto Trębowlę, co leży nad rzeką Seretem i chciał zdobyć jego zamek, gdzie się garstka Polaków dzielnie broniła pod dowództwem pana Chrzanowskiego i jego odważnej żony. Turcy od kilku dni bili z armat do zamku; kule szarpały już mury, w końcu przypuścili szturm, aby raz już uporczywy zamek zdobyć, choć napróżno, bo Polacy z ludem ukraińskim to

mrowie pogańskie spędzili z murów i wałów, zadawszy im wielkie szkody w ludziach. Ale głową trudno mur przebić! — w końcu byliby się już musieli poddać Turkom lub zginąć co do nogi. I już właśnie mieli wywiesić na wałach białą chorągiew poddania się, kiedy nieustraszona Chrzanowska skłoniła męża do zaniechania tego zamiaru, grożąc odebraniem sobie i mężowi życia. Postanowiono więc walczyć do upadłego. Wtem na szczęście zdaleka, z za gór, pokazało się wojsko pancerne z królem Sobieskim na czele. Król ten był postrachem dla Turków i Tatarów, uwolnił też zaraz od nich Trębowlę i Podhajce, a zwróciwszy się nagle pobił ich pode Lwowem, dokąd się inne oddziały bisurmańskie zapędziły.

Dwaj nasi bracia Litwini, że byli wzrostu pięknego, śmiałego oka i silnych pięści, więc też zaraz z początku wybrał ich sobie pan hetman litewski do swoich usług. Kiedy bitwa wrzała, mogli oni zostawać z drugimi ciurami w obozie i pilnować taboru, to jest wozów i bagaży, ale oni uprosili pana hetmana, żeby im choć zdaleka wolno było z koni przyglądać się bitwie. Zdarzyło się, że w bitwie pod Podhajcami oddział Tatarów zapuścił się aż ku obozowi hetmana, bo ich gnało przed sobą rycerstwo polskie. Wielu wtedy Tatarów z koni spadło, ale też większa część uciekła w różne strony na rączych i zwin-

nych swych koniach. Widząc to wszystko dwaj bracia Litwini, nie mogli już dłużej wytrzymać, aby się tylko z koni przyglądać bitwie, więc puścili się na uciekających Tatarów. Janek dopędził zaraz jakiegoś dowódzcę tatarskiego i jednem cięciem pałasza głowę mu odciął; puścił się potem za drugim, dopędził go i zamierzył się już zbroczonym krwią pałaszem na niego, gdy zwinny Tatarzyn przechylił się prawie pod brzuch koniowi i cięcie Janka chybiło. Nim zdążył drugi raz się zamierzyć, już kilku Tatarów go obstąpiło i zarzuciwszy mu pętlicę powroza na szyję, z konia go zwlekli i uciekli z nim przez pola.

Tymczasem Szymek w innej stronie uganiał się z wrogiem. Zdarzyło się, że w ucieczce jakiś bogato ubrany, brodaty Turek, na pięknym koniu wprost pędził na niego z wydobytym krzywym pałaszem. Szymek stanął śmiało i wzniósł pałasz do góry, ale i Turek zastawił się tak silnie, że oba pałasze pękły na dwoje i z brzękiem daleko odpadły. Wtedy nasz wojak rzuca resztę pałasza o ziemię i w mgnieniu oka chwyta silnie Turka za gardło i tak zciągnąwszy go ze siodła zarzuca na grzbiet swojego konia przed siebie i pędzi do obozu galopem. Już też i bitwa się skończyła. Wielka moc nieprzyjaciół legła na placu i naszych też padło nie mało, ale zwycięztwo było przy królu. Zatrąbiono na wojsko,

zebrały się szeregi polskie, stanął i Szymek przy swoim hetmanie i pokazał mu kogo schwycił w bitwie: trzymał on jeszcze mocno za szyję Turka przed sobą. Hetman spojrzał i poznał po ubiorze, że to basza, to jest generał turecki, w niewoli u silnego Szymka.

— Puść go dzielny chłopcze! rzekł hetman, niech stanie ten basza przed królem i czołem mu uderzy.

Wtedy Szymek puścił Turka, ale ten spadł jak kloc na ziemię. Pokazało się, że go Szymek udusił.

Na takie zdarzenie szeregi wojaków patrzały dziwnemi oczyma; wszyscy podziwiali nadzwyczajną siłę Litwina. Pan hetman w nagrodę kazał mu dać nową, bogatą szablę, wysadzaną na pochwie i rękojeści drogiemi turkusami i odtąd już Szymek mógł przy boku hetmańskim stawać do bitwy i razem z drugimi rycerzami, jako ich towarzysz, bić wrogów.

Ucieszył się z tej godności Szymek, ale niedługo mocno się zasmucił, gdy po apelu pozostałego wojska pokazało się, że Janka Ciwunia nie ma. Nie zginął, bo trupa jego nie znaleziono między poległymi, a więc musiał być wziętym w jasyr turecki czy tatarski. Szymek nie przestawał szukać brata, rozpytywał o niego po szeregach; między rannych wchodził do polowego szpi-

tala pod namiot, ale i tam go nie znalazł. Wreszcie powiedział mu jeden z ciurów obozowych, że widział zdaleka, jak Janka na powrozie ciągnęli Turcy zą sobą, ale zaraz taki zamęt i kurz powstał, że nie mógł dojrzeć, co się dalej z Jankiem stało.

Szymek na tę wiadomość gorzką łzę uronił, bo i czyż mógł wiedzieć, co się później z Jankiem stanie? czy zapędzi go Turek za Czarne morze do swoich krajów, lub też w drodze ubije? Czy zresztą nie zabrali go z sobą w stepy Akermańskie aż do Krymu, albo za Ural? Zresztą jeżeli po wojnie zamiana jeńców nastąpi, gdzie tu szukać Jana Ciwunia, prostego ciurę obozowego? Wszystkie te przypuszczenia trapiły niezmiernie Szymka.

Po zwycięztwach króla Sobka, bo tak wtedy nazywano Sobieskiego, reszta tureckiego wojska ciągnęła spiesznie za rzekę Dniestr, która do morza Czarnego płynie. Król pędził ich przed sobą aż pod Kamieniec podolski i spalił miasto Soczawę, które szturmem zdobyć musiał. Gdy tak prawie już całą Ukrainę od nieprzyjaciół oswobodził, powrócił do Krakowa i dopiero teraz z żoną swoją ukoronował się, wśród wielkiej uroczystości. Był to król tak pięknego serca, iż o-

znajmił narodowi, który go okrzyknął królem, że dopiero wtedy przyjmie koronę na głowę, kiedy się jej stanie godnym przez pobicie natarczywych nieprzyjaciół. Tego też święcie dopełnił.

Wprzód jeszcze hetman Pac pociągnął z wojskiem na Litwę. Z nim musiałby wrócić i Szymon Ciwuń, bo należał do litewskich szeregów, ale on upodobał sobie wojaczkę a prócz tego bez brata nie miał serca powracać do starego ojca, więc prosił hetmana, aby mu pozwolił i nadal wojować na Ukrainie. Myślał on sobie, że może Bóg mu dozwoli wziąć w niewolę jakiego znacznego Turka i za niego zrobić zamianę na brata. Pan Pac tak mu wtedy odpowiedział:

— Dobrze! mój zuchu, zostań i walcz, jak na rycerza przystoi, ale, dodał z uśmiechem, tylko za gardło swoich niewolników mocno nie ściskaj, bo za trupa nie oddanoby ci żywego brata.

Został więc Szymek w szeregach królewskich i podczas kiedy król koronował się w Krakowie, on tymczasem na Rusi i Podolu razem z drugimi objeżdżał miasta i wioski patrolem i baczył, czy gdzie nie posłyszy jakich wieści o zbliżaniu się Turków lub Tatarów.

Niedługo też czekał na nieprzyjaciela i niedługo król po wojnie i koronacyi mógł wypoczywać, bo oto w rok potem dano znać na szlakach tatarskich zapaleniem smolnych beczek na wzgó-

rzach, o zbliżaniu się wroga. Z Krakowa niebawem przypędzili gońce do pałacu wilanowskiego pod Warszawą, przynosząc królowi straszliwą nowinę: że ten sam Ibrahim i nowy seraskier, to jest wódz turecki, z większą jeszcze chmarą wojska nagle wkroczyli w granice Polski. Było tegc wojska ośmdziesiąt tysięcy Turków i sto trzydzieści tysięcy Tatarów. Ci dwaj dowódzcy po gańscy po dawnemu zaczęli plądrować na Podolu i na Rusi czerwonej, że zaś nigdzie nie napotkali silnych oddziałów polskiego wojska, więc znęcali się strasznie nad mieszkańcami, a ludu w niewolę brali po drodze co niemiara, bo każdy wpadał w ich ręce, kto nie zdążył zemknąć w niedostępne lasy lub góry. Prowadzili oni z sobą trzy tysiące wozów naładowanych bogatą grabieżą z polskiej ziemi. — Obdzierali ze złota i srebra kościoły i cerkwie, zabierali drogie naczynia i szaty po miastach i dworach, przytem pędzili stada bydła i koni z obór i stajen zabrane.

Między niewolnikami był i nasz Janek, poprzednio już, jak wiemy, pojmany. Dorodny i silny mężczyzna spodobał się Ibrahimowi szatanowi, więc też wziął go z sobą na swoje stepy. Tam przez pół roku pasał za dnia barany, a wieczorami do kuchni Ibrahima musiał drwa rąbać, wodę nosić lub czyścić stajnie i opatrywać jego pyszne rumaki. Przykro i boleśnie było biedne-

mu Litwinowi o kilkaset mil od ojczyzny wysługiwać się poganinowi, a nieraz nawet od tureckich dozórców wiele wycierpiał, bo u Turków był zwyczaj, dotąd jeszcze zachowywany, bicia w pięty kijami za najmniejsze przewinienie. Kara taka nazywa się u nich basarunkiem, a tych basarunków nie żałowali oni nigdy niewolnikom chrześciańskim, których pogardliwie giaurami, czyli psami niewiernymi zwali.

Przed wyciągnięciem na tę drugą wojnę do Polski, Ibrahim zawołał Janka do siebie. Palił wtedy fajkę z długiego cybucha, siedząc na ziemi z założonemi nogami pod siebie, a na głowie miał ogromny zawój. Kiedy wszedł Janek, Ibrahim spojrzał nań bystro swem szatańskiem okiem, że biedny Janek myślał, iż mu zapewne przyjdzie pożegnać się ze światem, ale wódz kazał mu powiedzieć przez swego tłómacza, że go przeznacza do swoich usług za to, że mu zręcznie i wiernie dotąd służył. Kazał go więc zaraz ubrać po turecku w trzewiki, szerokie spodnie, w kaftan i zawój na głowie, a w dowód szczególnej łaski kazał mu jeszcze zgolić gładko głowę, tak, że tylko na czuprynie jeden kosmyk włosów został. Kiedy zaś mówić do niego będzie, kazał mu zawsze trzymać ręce skrzyżowane na piersiach, na znak wielkiego posłuszeństwa.

I cóż miał biedny Janek robić? Westchnął

boleśnie, ale słuchać musiał. Zresztą polecił się szczerze Panu Bogu i nie tracił ufności....

Gdy się król Sobieski dowiedział o tym niespodziewanym napadzie, kazał zwołać pode Lwów wszystko wojsko, jakie było w okolicach Rusi i Podola. Ale tego wojska nie wiele na miejscu stanęło, bo dużo pułków zostało rozpuszczonych po kwaterach. Że zaś czasu już było mało, bo Turcy i Tatarzy zaledwie o 20 mil byli od Lwowa, więc król, nie tracąc czasu, wyruszył w pole z wojskiem, którego miał 10,000. Z tą małą siłą stanął obozem nad Dniestrem obok miasteczka Żurawna, a było to dnia 24 września 212 lat temu. Po drugiej stronie rzeki zdaleka bielały na rozległem polu namioty nieprzyjaciół, a było razem tych bisurmanów 210,000, czyli na jednego Polaka było dwudziestu jeden nieprzyjaciół! Cóż powiecie na to, czytelnicy? Może król Sobek struchlał? może prosił o pokój? O! nie, bynajmniej. Za nim się Turcy z Tatarami przeprawili przez rzekę, kazał on obóz swój dokoła okopać i obstawić wozami i tak czekał na napaść, a sam tymczasem wysyłał to konnicę, żeby niepokoiła Turków, to znowu sam z paru tysiącami wyborowych wojaków wypadał cichaczem w nocy i bił straszliwie naprzód wysunięte oddziały tureckie. Tak go się zresztą Turcy i Tatarzy bali, że choćby ich stu na niego wyszło, to pierzchali przed

jego potężną szablicą, bo oręż ten w ręku silnego króla bez odpoczynku głowy Turkom ścinał. Wtem przybywa królowi 3,000 wojska na pomoc i wiecie, kto się wiele do tego przyczynił? Oto nasz Szymek Ciwuń, który u króla wyprosił, że mu pozwolił z innymi zbierać oddziały z najdalszych okolic.

Ale cóż znaczyły te trzy tysiące ludzi przeciw tak wielkiej potędze Turków? Już kilkanaście dni ciągle się oba wojska ucierają ze sobą, giną jak muchy bisurmany, ale i naszych po trochu ubywa. Deszcz lał całemi dniami jak z cebra; upływa trzeci tydzień, a tu znikąd Polakom nie przybywa ani ludzi, ani żywności. Głód czuć się już dawał, a prochu i kul już były ostatki. Król zwołał regimentarzy i dowódzców na radę wojenną do swego namiotu i postanowił, skoro tylko deszcze ulewne ustaną, całą mocą napaść na obóz Turków i albo ich rozpędzić, albo też poledz.

Ze spuszczoną głową panowie radni żegnali króla, rozchodząc się do swych pułków. Jeden tylko generał Marcin Kącki, co dowodził artyleryą, to jest armatami, nie tracił serca i nadziei w pomoc Bożą.

Trudne położenie naszych wobec takiej potęgi wroga odczuł boleśnie i nasz Szymek, a bolał podwójnie: raz, że Turkowi nic zrobić nie mo-

żna, powtóre, że kiedy tak rzeczy stoją, nigdy się z bratem swoim nie zobaczy!

Pewnego wieczora, a było to w połowie października, miał on rozkaz przejrzeć straże przed obozem, obok starego zamku żurawińskiego. Zamek żurawiński niegdyś ogromny, dziś miał dach zerwany, okna wybite i mury porozwalane, bo go tak Turcy zniszczyli. Kiedy Szymek obejrzał zewnętrzne mury zamku, głód mu zaczął mocno dokuczać. Zgłodzony i przeziębnięty zaczął chodzić wśród gruzów zamkowych, myśląc, że może tam co do wypicia lub zjedzenia z dawniejszych czasów zostało. Wiedział on dobrze, że panowie w piwnicach zamkowych zwykli przechowywać beczki starego, dobrego wina, więc też i łyknął ślinkę na to wspomnienie. Z tą myślą zaszedł po schodach do zamkowych lochów. Księżyc w tej chwili zaświecił między chmurami, tak, że przez okienka piwnic przechodziły jasne promienie. Chodzi tu i owdzie, wina jak nie ma, tak nie ma! ale za to za dziesiątemi może drzwiami potrąca o jakieś dwie nadzwyczaj grube rury żelazne. Przygląda się.... a to ogromne dwie armaty; przy nich leżało ze dwadzieścia kul żelaznych i kilka beczek prochu.

— Chryste Panie!.... O! Matko Boska Ostrobramska! zawołał, takich ogromnych armat

nigdy w życiu mojem nie widziałem, a toć to jak kłody dębów stuletnich!

Uradowany tem odkryciem Szymek, zapomniał o głodzie, winie i chłodzie i natychmiast poszedł donieść panu Kąckiemu, że tyle prochu, kul i dwie ogromne armaty odkrył. Sam król, mocno uradował się tą nowiną, a jenerał Kącki kazał bez zwłoki na wierzch to wszystko wydobyć. Zaraz też nabili prochem i kulami dwie wielkie lufy armatnie i jeszcze tej samej nocy kilkanaście razy strzelono wprost do tureckiego obozu. Wedle rady tego generała, król po wystrzałach kazał wszystkim pułkom wydać ogromne okrzyki radości, jakby powitania nowoprzybyłych a pożądanych gości. Wiedzieli dobrze, jakiego strachu przez to napędzą Turkom, niedługo też, nad samem ranem usłyszano jakieś dziwne krzyki w ich obozie. Za chwilę wszystko ucichło; tylko straże chodziły dokoła i zamieniały z sobą hasła.

Obóz polski zasłaniały wzgórza, ztąd też dobrze go Turcy widzieć nie mogli. Król tej nocy spał ledwo dwie godziny, a chodził i naradzał się o bitwie, którą chciał zakończyć przykry los swojego wojska.

Kiedy tak się przechadza wzdłuż namiotów, naraz pada pod nogi królowi z po za wzgórka strzała a przy niej wisi karteczka. Zdziwiony

król podnosi ją, pokazuje Kąckiemu i odczytuje następujące pismo:

,,Dwie wielkie kule armatnie wpadły w sam środek obozu, jedna z nich rozerwała namiot samego Ibrahima. Turcy są w strachu; myślą, że Polakom nowe posiłki z armatami przyszły. Przytem janczarskie pułki sułtańskie buntują się, nie chcą już dłużej stać w polu o głodzie i bez korzyści. Nie traćcie odwagi; pewnie będą was prosili o pokój.

Jan Ciwuń".

— Niech Bóg da zdrowie tym Ciwuniom, rzekł uradowany król, teraz mospanie będę wiedział, jak z mańki zagrać tym psom bisurmańskim. Każ jenerale zebrać się o świcie wszystkiemu wojsku w szeregi i popędzimy ze wzgórza, jak orły na zdobycz, do ataku. Jeżeli wpierw jeszcze o pokój Turek prosić nas nie będzie, to uderzymy z całą gwałtownością na niego!

Jenerał Kącki natychmiast wydał rozkazy wojsku, a kiedy zobaczył Szymka w szeregu, opowiedział mu, co zaszło. Poczciwy Szymek z radości łzami się zalał, tak się ucieszył, że brat jego żyje i że taką przysługę dobrej sprawie uczynił.

Nim pułki wystąpiły z obozu, kazał król z rana bębnić i grać muzyce zdaleka za obozem na znak, że to niby nowe wojsko przychodzi, a po-

tem wszyscy ogromnym głosem zaśpiewali pieśń:

Boga-Rodzico Dziewico!
Bogiem sławiona, Marya....

jak to mieli zwyczaj czynić Polacy, kiedy do bitwy się szykowali. Pieśń tę nabożną a zarazem wojenną dobrze już Turcy znali.

Wtem król wyszedł na wzgórze i ujrzał, jak zdaleka z obozu tureckiego jakieś pułki odchodzą. Domyślił się, że to jest straż przyboczna sułtańska, owi janczarowie, którzy się zbuntowali i dłużej już w polu obozem stać nie chcieli.

Wtem jacyś dwaj jeździcy pokazują się od strony Turków, a w ręku wiewają białemi chorągwiami na znak, że chcą z Polakami mówić. Wysłał i król dwóch jezdnych od siebie i dowiedział się za chwilę, że Turcy proszą o pokój. Niedługo przyjechali dwaj tureccy baszowie i weszli pod namiot króla; tam złożyli mu bogate podarunki w klejnotach i orężach i prosili w imieniu Ibrahima o pokój. Król nie łatwo się skłaniał do pokoju, ale w końcu przystał na niego z tym wstępnym warunkiem, ażeby przed podpisaniem pokoju najprzód wypuścili wszystkich jeńców polskich bez okupu i wszystkie wozy ze zdobyczą, którą w krajach polskich zabrali. Turcy zgodzili się na to i niedługo piętnaście tysięcy jeńców przedstawili królowi. Przywieźli też trzy tysiące wozów, napełnionych bogactwami polskie-

mi. Potem Turcy spiesznie za rzekę Dniestr w swoje kraje pociągnęli. Stało się to 17 października 1676 roku.

Bibl. Jag.

Niezmierna teraz radość zapanowała w obozie polskim: ojciec syna, syn ojca, brat brata witali z niewoli. Szymek uwijał się w tłumie szukając brata i już się zaczął smucić, że nie mógł odszukać Janka, gdy wtem jakiś Turek w zawoju na głowie, w kaftanie i szerokich hajdawarach wychodzi z tłumu do niego i woła:

— Cóż to, nie poznajesz mnie, Szymku?

Wtedy skoczył Szymek ku niemu, objął go za szyję i obaj bracia popłakali się z radości.

Mężny król Sobieski, cudem prawie ocaliwszy swoje szczupłe wojsko, klęczał długo podczas obozowej mszy świętej i dziękował Najwyższemu za to bezprzykładne zwycięztwo. Potem podał swą dłoń dwom mężnym braciom Litwinom, podziękował im za przysługi oddane ojczyznie, darował każdemu po dzielnym koniu tureckim i po szabli wysadzanej drogiemi kamieniami; krzyżów i orderów za owych czasów nie przypinano nikomu. Prócz tego zrobił całą rodzinę Ciwuniów szlachcicami, co na owe czasy wiele znaczyło, a gdy się dowiedział, że mają jeszcze starego ojca na zagrodzie, przyrzekł im, że za grunt, na którym pańszczyznę tenże odrabiał, za-

płaci dziedzicowi i odda mu go na własność wieczystą za to, że tak dzielnych synów wychował.

W domu Ciwunia radość była niezmierna, gdy synów wracających z wojny obaczył. Słuchając opowiadań o dziwnych przygodach, które przeszli, rozpłakał się stary ojciec. Przez kilka dni schodziła się do ich chaty cała gromada. Dwaj wojacy musieli im opowiadać i o wojnie i o Turkach i o tej kresie, którą miał Szymek na licu od szabli tureckiej. Janek opowiadał znów o swej niewoli — a jeszcze nie mało czasu upłynęło, nim mu włosy porosły na głowie, którą mu Turcy tak gładko zgolili.

Z Powiastek hist. J. Grajnerta; w skróceniu.

PUSTY DWÓR.

OPOWIEDZIAŁ

EDMUND DRZEWIECKI.

Kto się w górach urodził i z ich szczytów spoglądał na ziemię, kto błądził w ich przepysznych dolinach, kto słuchał szumu strumyków i odpoczywał w cieniu odwiecznych lasów — o, jak boleśnie ściska się temu serce, gdy swoje góry ma porzucić, a jaką radością znów się przepełnia, gdy do nich powraca, gdy pnie się na ich szczyty i gdy w znajomych sobie posępnych dolinach swobodnie błądzi.

— Tak kochana żono, tak jest. Ty mniej to czujesz, bo kołyska twego urodzenia stała na poziomej, nizkiej płaszczyznie.

— Ale mój mężu, wszędzie jest pięknie, gdzie tylko boże słoneczko przyświeca.

— Zapewne, najpiękniej jednak na świat się patrzy ze szczytu gór. Oh! bo tam na górach człowiek bliżej nieba, czuje Boga nad sobą i na każdym kroku podziwia dzieło Stwórcy, Jego wielkość, Jego wszechmoc i Jego potęgę....

— I na równinie czujemy to samo — rzekła sucho moja żona, przerywając moją natchnioną przemowę. — Ale choćbym ci i przyznała słuszność, mój Grzesiu, czyż tu nie chodzi o zdrowie naszego syna? Powietrze gór jest za ostre dla słabego zdrowia naszego dziecka, a doktór wczoraj mnie jeszcze zapewniał, że zdrowie jego tylko

przez zmianę powietrza da się osiągnąć. A ponieważ żyjemy w niezależnych szczęśliwych stosunkach, nie wchodzę w to, co nas wstrzymuje od przeniesienia się w inne, również piękne okolice. Znajdziemy tam najlepsze mleko dla naszego dziecka, przechadzkę po aleach, a rozrywkę jaką tu masz, tam także znajdziesz.

— Nie, do miasta nie wyprowadzimy się za żadną cenę! — Skoro jednak chodzi o zdrowie naszego dziecka, czuję dobrze konieczność opuszczenia ukochanych gór i poszukania innego ustronia, gdzie łagodniejsze jest powietrze, aniżeli tutaj.

W trzy dni po tej rozmowie wróciłem ze zwykłej przechadzki do domu; żona podała mi gazetę, zwracając przytem mi uwagę na znajdujące się w niej ogłoszenie. Pewien radzca sprawiedliwości, którego znałem osobiście, ma zamiar sprzedać piękny wiejski dworek z parkiem i ogrodem. Domek ten należał do jakiegoś starego kapitalisty, po którego śmierci jedyny spadkobierca wszystkie dobra spieniężył, ażeby się gdzie indziej mógł okupić. Dwór ten, w którym nieboszczyk przez wiele lat zamieszkiwał, na ostatku sprzedawano, a cena była tak niską, że wprawiała w zadziwienie.

— Grzesiu, nie wolno ci się ociągać, napisz natychmiast do radzcy, że dwór kupujesz. Pomyśl

tylko: dom, park, ogród i kawał pola za 5000 talarów, czy to nie żarty?

— Dobrze, dobrze! do radzcy jeszcze dziś napiszę, a gdy obustronna zgoda nastąpi, wówczas nic nie będzie przeszkadzało naszemu przesiedleniu się. Będziemy mieli powietrze, jakiego słabość naszego synka wymaga, a ja będę blisko moich gór, z któremi na zawsze się rozłączyć nie mogę.

Nie długo było potrzeba czekać na odpowiedź radzcy. Polecał mi ze wszech miar kupno tego majątku, czyniąc zarazem uwagę, że lepiejby było wpierw jednak zobaczyć go i w tym celu prosił mnie do siebie, ażebyśmy się wspólnie udali na miejsce sprzedaży. Nie miałem nic przeciwko temu i natychmiast udałem się do mego przyjaciela, którego zastałem w łóżku z silnem zapaleniem gardła. Chory oświadczył, że nie pozostaje mi nic innego, jak tylko samemu udać się na miejsce przeznaczenia, dając mi zarazem pismo do dozorcy domu, w którem polecił mu przyjąć mnie dobrze i wszędzie oprowadzić. Wsiadłem więc na wózek i udałem się w dalszą drogę.

Już się dobrze ściemniać zaczęło, kiedym się zatrzymał w oberzy pod „białym niedźwiedziem", zkąd do wiejskiego dworu, leżącego niedaleko miasteczka, miałem jeszcze godzinę drogi. Chcia-

łem tu przenocować, ale oberza była tak brudna i nędzna, że pozostać tu było niepodobieństwem. Postanowiłem więc skorzystać z polecenia radzcy i do dworu na noc zajechać. Po szklance kwaśnego piwa i jakiejś potrawie, której wcale nie skosztowałem, zażądałem od gospodyni przewodnika, któryby mnie do celu mojej podróży doprowadził. Wnet mi go przyprowadzono i to piętnastoletniego chłopaka, który tu już publiczny urząd pełnił, wypędzając tu codziennie gęsi w pole.

Gospodyni oberzy pod ,,białym niedźwiedziem'' zapewniała mnie z wielką wymową, że Kubuś (tak było imię chłopcu), jak na wiek swój, był bardzo mądrym i roztropnym chłopakiem, że jest bardzo dobrych ludzi, a ojciec jego był nawet feldfeblem. Z trudnością uwolniłem się od gadatliwej gospodyni, u której gawędka zdawała się być kwestyą żywotną.

Kubuś był rzeczywiście ładnym rzeźkim chłopakiem; w całem jego ułożeniu przebijała się odwaga i niezwykła śmiałość. Nie wiem, czy ona pochodziła w spadku po ojcu feldfeblu, czy też wyrodziła się tylko w skutek nadzoru, jaki miał nad powierzoną sobie gromadą. Idąc obok mnie, opowiadał mi wiele ciekawych rzeczy o sobie i swoich gęsiach, wreszcie zadałem mu kilka pytań, dotyczących mej przyszłej posiadłości.

— Byłeś już w pustym dworze—tak bowiem w całej okolicy dom ten zwano — i czy znasz dozorcę, który w nim obecnie mieszka? — zapytałem chłopaka, chcąc rozmowie inny zwrot nadać.

— Nie miałbym znać starego Buchały — odpowiedział raźno Kubuś — toć wszyscy go kochają i jego żonę także, ale ich syn Marcin, ten swoim rodzicom wiele kłopotu sprawił, gdyż był złodziejem i już we więzieniu siedział.

— I mieszka on u rodziców?

— Naturalnie, że mieszka. Skoro Marcin z więzienia powrócił, to nieboszczyk pan, do którego dwór należał, dał mu zajęcie w ogrodzie. O, bo nieboszczyk pan był bardzo dobrym i ludzkim; nieraz dał mi trojaka, a nawet chciał mnie wziąść do siebie! Biedny pan — tak smutno zakończył

— Smutno zakończył? Co to ma znaczyć? — zapytałem zdziwiony.

— Jakto? to pan nie wie, że nieboszczyk pan został zamordowany?

— Zamordowany? Ależ nie wiem nic zgoła! zawołałem.—Opowiedz mi wszystko, co wiesz o tem. A więc ten nieszczęśliwy został zamordowany?

—Tak jest i to przed trzema miesiącami, gdy wiśnie dojrzewały. Codziennie wieczorem przechadzał się po parku, a w dniu tym, gdy długo z niego nie powracał, stary Buchała obawiając się,

czy mu się czasem nie przytrafiło jakie nieszczęście, zapalił latarkę i poszedł go szukać. Niedaleko domu pod orzechowem drzewem leżał nasz pan z przerzniętem gardłem — ludzie mówili, że czaszkę miał także rozciętą. Buchale jednak nie udało się przytrzymać zabójczyni.

— Zabójczyni? Więc to kobieta go zabiła?

— Tak jest — młode dziewczę, Anna Grudkowska. Ona była sierotą, a nieboszczyk pan nasz wziął ją do siebie i chował jak własne dziecko. Anna często miała sposobność zajrzenia do pańskiego kuferka, gdzie były pieniądze i wtenczas to szatan jej podszepnął, ażeby swojego dobroczyńcę zamordowała i okradła. Zabiła go, wzięła mu klucz od pienędzy i ze zdobyczą uciekła tak, że śladu po niej nie zostało.

— A zkądżeż się dowiedziano, że to Anna zabiła pana?

— Bo w jej pokoju znaleziono nóż skrwawiony i chustkę jej, także skrwawioną. — Buchałowie jeszcze więcej panu powiedzą, bo oni stawali jako świadkowie przed sądem.

— Czy Marcin w czasie morderstwa był w domu?

— Nie. Jego właśnie nieboszczyk pan w wilią śmierci posłał ze sprawunkami konno do miasta. Ja to wszystko wiem, bo w tym dniu nie pasłem gęsi dla tego, że żołnierze mustrowa-

li się na polu, poszedłem więc do dworu i pomagałem tam zrywać wiśnie. Nieboszczyk pan dał mi jeszcze w ten wieczór trojaka i powiedział, że gdy zostanę porządnym chłopcem, to mnie weźmie potem w służbę. A za kilka godzin już nie żył. Ale — patrz pan. Tam oto idzie Buchała. He! hej! ojcze Buchało!

I jak zając puścił się mały Kubuś przez łąkę za starym dozórcą. Ten zatrzymał się, a pomówiwszy chwilkę z chłopakiem, niezawodnie o mnie, oddał coś chłopcu. Kubuś wnet powrócił i podał mi mały kluczyk.

— Tu jest, proszę pana, klucz do furtki od ogrodu. Buchała prosił, ażebyś Pan jej nie zamykał, bo zaraz powróci; idzie tylko do kowala po latarkę. My pójdziemy przez lasek, do którego stąd parę set kroków tylko.

Po małej chwili stanęliśmy przed furtką, gdzie mojego przewodnika dobrze wynagrodziwszy pożegnałem.

Wolnym krokiem udałem się przez park ku domowi, który w małej odległości stał ukryty za drzewami. Był to stary dom, zbudowany na wzór zamków obronnych, do koła otoczony głębokim rowem, w którym kiedyś musiała się znajdować woda. Do głównego wnijścia prowadził most kamienny. Jedna strona domu przytykała do łąki, na środku jej znajdowała się sadzawka.

Nie było więc wątpliwości, że w zamku tym musieli kiedyś mieszkać rycerze. Dziś jednak wszystko zmieniono i urządzono stosownie do potrzeb czasu.

Stary Buchała widać pospieszył się, bo na moście spotkałem go już idącego naprzeciw mnie. Był to mężczyzna około lat sześćdziesięciu, ale zdrów jeszcze i czerstwy. Włos długi, siwy spadał mu na ramiona, a twarz jego surowych rysów, nie złagodniała pod badawczem okiem. W kilku słowach powiedziałem mu cel mego przybycia i wręczyłem mu list od radzcy. Po twarzy jego przebiegł pewien niepokój.

— Więc pan życzysz sobie dom obejrzeć?— zapytał po chwili.

— Tak jest — odpowiedziałem. — Ale zarazem prosze was o przygotowanie mi kolacyi i noclegu, gdyż w waszej oberzy może być dobrze dla koni, ale nie dla ludzi. A zresztą pan rządzca zapewne nadmienił, że wolno mi tutaj zatrzymać się niejaki czas.

— Tak jest, tak, właśnie o tem pisze. Ale — u nas tu wszystko pusto i w nieporządku, gdyż po śmierci naszego pana prócz kuzyna nieboszczyka i pana sędziego, nikt jeszcze do tych pokoi nie zajrzał.

— W każdym razie będzie mi tu lepiej, aniżeli w oberzy — odpowiedziałem, zwracając się

ku domowi. Rzecz była widoczna, że pan Buchała nie bardzo był kontent z moich odwiedzin.

W milczeniu zaprowadził mnie do swego mieszkania. Tu bez zakłopotania przywitała mnie jego żona; przy piecu siedział człowiek, w którym na pierwszy rzut oka poznałem dawnego więźnia, Marcina. Przywitał mnie krótkiem, ponurem spojrzeniem i obrócił się znów do pieca. Buchała kazał żonie sporządzić kolacyą, ja zaś zażądałem, aby mnie oprowadzono po domu.

— Czybyś pan nie zechciał wprzód trochę wypocząć? — zapytał Buchała stawiając przedemną butelkę piwa.

— Odpocznę później — wprzód obejrzyjmy pokoje.

Buchała spojrzał znacząco na żonę, co nie uszło mojej uwagi. — Stary wziął pęk kluczy i prosił mnie, bym szedł za nim. Po kamiennych wschodach weszliśmy na kurytarz, w którym drzwi na prawo i lewo prowadziły do komnat. Odgłos naszych kroków, rozlegający się w tej śmiertelnej ciszy, dziwne robił na mnie wrażenie, a skorośmy weszli do pokoju zajmowanego przez nieboszczyka, mimowolnie przyszło mi na myśl dokonane morderstwo. Pokój ten był jeszcze bardzo porządnie urządzony, a obok kanapy spostrzegłem zeschłe krople krwi. Tu zapewne przyniesiono nieboszczyka i ztąd też ślad krwi

pozostał. Swobodniej odetchnąłem opuszczając ten pokój. I Buchała zdawał się być niespokojnym, szybko oprowadził mnie po dalszych pokojach i wkrótce byliśmy znów na kurytarzu.

Już się ściemniało, a ja na zaproszenie Buchały szedłem znowu do jego mieszkania, aby tam zaczekać, dopóki mi nie przyrządzą pokoju. Nagle zimny mnie przeszedł dreszcz, bo od strony pokoju, w którym mieszkał nieboszczyk, dał się słyszeć stłumiony, podziemny jakiś głos, niby westchnienie konającego, a potem szelest podobny do trzepotającego się ptaka — po chwili wszystko ucichło.

Spojrzałem na Buchałę, ale ten bojaźliwie spoglądał w głąb kurytarza i ręka jego trzymająca pęk kluczy, drżała widocznie.

— Co to był za szelest? — spytałem przestraszony.

— Cicho! cicho! — szepnął Buchała. — Tu bardzo niespokojnie od owego wieczora, gdy..... no... panu zapewne wiadomo..... gdy się to nieszczęście stało. Pójdź pan do mnie — widać, że nieboszczyk panem tego domu chce pozostać!

— Jakto? pan wierzysz, aby duch zamordowanego po tych pokojach chodził?

Buchała nic nie odpowiedział. Obrócił się tylko ku schodom, wiodącym do pomieszkania.

Nie pozostało mi nic innego, jak iść za nim. Żona jego zajmowała się przyrządzeniem kolacyi, a Marcin stał koło pieca i spoglądał na nas wzrokiem, w którym malowało się tyle obawy, ile podstępnej złości.

Nie przeczę, że w tym domu, w tem otoczeniu dziwne jakieś owładnęło mną uczucie, mimo to jednak zasiadłem do przygotowanej kolacyi, zwracając rozmowę na stosunki zamordowanego i bliższe szczegóły jego śmierci. Buchała opowiadał mi prawie to samo, co mały Kubuś:

— Nieboszczyk pokładał wielkie zaufanie w Annie, ona jednak zaślepiona blaskiem złota, dopuściła się tak haniebnego czynu. Stary pan chował w parku bardzo piękne, zagraniczne kozy, które co wieczór, idąc na przechadzkę, odwiedzał. Mały domek służący im za schronienie, stał w cieniu olbrzymich drzew i to miejsce właśnie wybrała sobie Anna na dokonanie zbrodni. Znaleźliśmy go tam z przerzniętem gardłem, a wszelkie nasze poszukiwania w celu schwytania morderczyni, były bezskuteczne.

Te i tym podobne rzeczy opowiadał mi Buchała naprzemian ze swoją żoną. Marcin tylko siedział ponury i zdawał się nie zważać wcale na naszą rozmowę. Gdy jednak zaczęli opowiadać, że od czasu, kiedy zamordowano pana, dawało się słyszeć w górnych pokojach trzaskanie drzwia-

mi, jęki podziemne i głuchy jakiś szelest, wtenczas Marcin obrócił się ku nam i zdawał się uważnie przysłuchiwać opowiadaniu ojca.

Stary zegar stojący w kącie pokoju wskazywał dziesiątą godzinę, gdy Buchała zaprosił mię na spoczynek do drugiego pokoju. Podczas jego opowiadania niejedna myśl przebiegła mi przez głowę. Tu nie wszystko było tak, jak się starano wmówić we mnie. Ta historya pokutowania, to zaambarasowanie się ich mojem przybyciem, te spojrzenia, jakie sobie często nawzajem posyłali, ten przestrach malujący się w twarzy Marcina, wszystko to utwierdzało mnie w przekonaniu, że Buchałowie pragną się pozbyć kupca na dom, ażeby nie musieli z niego wychodzić. Na wspomnienie uczucia strachu, jakiego doznałem w kurytarzu, wstydziłem się, a gdy mi żona Buchały przypomniała czas spoczynku, oświadczyłem krótko i zwięźle, że chcę przenocować na górze i to w pokoju nieboszczyka.

— Nie, to być nie może! — zawołał Marcin, który teraz dopiero po raz pierwszy się odezwał.

— Czy rzeczywiście macie prawo zabraniać mi? — zapytałem nieco podniesionym głosem. — Zamiarem moim jest, przenocować w górnych pokojach i będę tam spał z takim samym spokojem, co tutaj. Pokój nieboszczyka jest bardzo wygodnie umeblowany, a w pobocznym alkierzu

widziałem wygodne łóżko; proszę więc o światło i klucze, a jutro o godzinie szóstej oczekuję śniadania.

— Ależ tam pokutuje — zawołała stara. — Jak łatwo mogłoby się stać jakie nowe nieszczęście, a urzędnicy sądowi dopiero co z domu wyszli. Gdyby się tam panu co stało, my bylibyśmy za to odpowiedzialnymi!

— Duchów się nie boję — odpowiedziałem spokojnie, a wyjmując z kieszeni nabity rewolwer, dodałem: — gdyby jednak ludzie chcieli mi jaką krzywdę wyrządzić, to tu są kule, za których skutek ręczę. Mam jednak nadzieję, że nic mi snu nie przerwie. — To mówiąc, schowałem rewolwer do kieszeni i zbliżywszy się do ściany, zdjąłem z haka klucze do górnych pokoi, które Buchała niedawno był powiesił.

Odwaga moja i śmiałość zaimponowała tym ludziom. Starzy wszelkiemi sposobami starali się mnie odwieść od mego zamiaru, zaręczając, że nieboszczyk pokutuje na górze. Marcin siedział posępny i milczący, jak cały wieczór, ale zauważyłem, że często łypnął na mnie oczami. Spostrzegłszy jednak, że jestem panem kluczy i że stara na moje naleganie światło zapala, zawołał:

— Cóż to? Ten pan nie ma prawa dokazywać tu sobie, bo dwór do niego jeszcze nie nale-

ży! Niewolno mu iść na górę — a jak się nieszczęście stanie, któż na tem nie ucierpi, jeżeli nie my?

— Weź pan świecę, panie Buchało, i chodź pan ze mną — zawołałem podniesionym głosem — wahasz się pan?.... a więc idę sam!

Sięgnąłem po świecę, alę stary próbował ostatniego środka:

— No, jeżeli pan tego koniecznie chcesz — rzekł z widocznem zakłopotaniem — to zaprowadzę pana do pokoju zajmowanego przez nieboszczyka, ale pozwól pan wpierw mojej żonie uporządkować tam cokolwiek i świeżą pościel zanieść, to nie długo potrwa. — I znowu spojrzał znacząco na żonę, a potem na Marcina, który wstał z ławki i zdawało się, że jeszcze chce protestować przeciwko memu żądaniu.

— Pokój jest w należytym porządku — odpowiedziałem — na zaniesienie świeżej pościeli zgadzam się, to jednak stać się może w mojej obecności. A więc chodźmy!

Po tych słowach posunąłem naprzód starego, który stał przedemną trzymając świecę i w ten sposób prawie go zmusiłem do towarzyszenia mi na górę.

Odgłos naszych kroków i skrzyp klucza w zamku dziwnie odbijał się w tej ciszy starego, pustego dworu, ale serce moje zamknąłem przed

zewnętrznemi wrażeniami, a wszedłszy do pokoju z chłodem przypatrywałem się kroplom krwi obok kanapy. Wkrótce ukazała się żona dozórcy ze świeżą pościelą. Zrobiwszy, co było potrzeba, pożegnałem małżonków z zastrzeżeniem, ażeby mnie jutro wcześnie zbudzili; klucz od kurytarza pomimo krótkiej protestacyi Buchały zatrzymałem przy sobie.

Zostawszy sam, zacząłem przeglądać mieszkanie. Był to niewielki pokój o dwóch oknach, z których widok się rozciągał na łąkę z sadzawką, z okien alkierza zaś było widać park. Wysokie, poręczowe krzesła, obite czerwonym aksamitem, stół wykładany perłową macicą, piec malowany jaskrawemi kolorami, — wszystko zdawało się być tak starem jak cały dom. W sypialni stało tylko łóżko, a obok niego stół i krzesełko. Ztąd prowadziły drzwi na kurytarz, które znalazłem zewnątrz zamknięte. Nie zważałem wcale na to; a potem nie potrzebowałem się obawiać, aby jaki nieproszony gość zawitał do mnie temi drzwiami, gdyż po odejściu Buchały, drzwi od kurytarza zamknąłem na klucz.

Zmówiłem pacierz, rozebrałem się, a złożywszy na stoliku rewolwer i zapałki, położyłem się w łóżko i zgasiłem świecę. Grobowa cisza panowała do koła, przerywana lekkim szelestem drzew, a blade światło wciskało się do pokoju.

Była to piękna, gwiaździsta noc, ale księżyc nie świecił. Znużony dziennemi trudami wkrótce zasnąłem.

Nie długo jednak sen mój trwał, zbudził mnie wkrótce szelest na kurytarzu. Usłyszałem lekkie stąpanie zbliżające się coraz wyraźniej ku mnie, aż wreszcie rygiel się odsunął i wspomniane drzwi do alkierza cicho i zwolna się otworzyły. Szybko uchwyciłem za rewolwer, nie zrobiwszy jednak najmniejszego szelestu. Zrazu zdawało mi się, że to tylko złudzenie i serce moje biło tak spokojnie, jak w chwili, gdym się kładł na spoczynek. Nagle zimny dreszcz przebiegł po mojem ciele, bo tam, przy drzwiach stała postać nieruchoma, której blade oblicze słabo rysywało się przy niedostatecznem świetle gwiazd. Postać otulona w białe, długie okrycie, wolnym krokiem, bez szelestu, zaczęła się do mnie przybliżać.

— Stój! ani kroku dalej, bo strzelę! — zawołałem głosem stłumionym, wymierzywszy rewolwer, a usta moje lekko drżały.

Postać zatrzymała się i usłyszałem lekki wykrzyk przerażenia — poznałem, że to głos kobiety.

— Kto jesteś i co znaczy ta komedya? — zapytałem zdziwiony, opuszczając rękę z bronią.

— Litości! Ratuj pan nieszczęśliwą — zawołała postać.

— Nieszczęśliwą? Ale kto ty jesteś?

— Już trzy miesiące trzymają mnie tu w zamknięciu, nazywam się Anna Grudkowska.

— Anna Grudkowska, zabójczyni swojego opiekuna, zawołałem oburzony.

— Nie — odpowiedziała — moja ręka nie splamiła się krwią niewinną, ale nikczemny morderca zwalił na mnie całą winę, ażeby siebie ocalić. O panie, jakże świat mógł uwierzyć, aby dziewczę słabe, sierota, naprzeciw swemu dobroczyńcy tak haniebnego miała się dopuścić czynu! Aby ręka ośmnasteletniej dziewczyny, uzbrojona w nóż, szlachetnego staruszka pozbawić miała życia? Czy uważasz pan podobny czyn za możliwy?....

Sięgnąłem po zapałki, chcąc zapalić świecę.

— Nie zapalaj pan! nie zapalaj! — szepnęło dziewczę. — Będą uważać na ten pokój, a ci ludzie do wszystkiego są zdolni, gdy ich własne bezpieczeństwo zagrożonem zostanie. Posłuchaj mnie pan i dowiedz się całej tej strasznej historyi, a potem ratuj mnie z rąk tych niegodziwców, ażeby czyn ich ukarany został, a moja niewinność wyszła na jaw.

— Nieboszczyk pan przyjął mnie do swego domu, był moim opiekunem i dobroczyńcą, za

co dozgonną wdzięcznością pragnęłam mu się wypłacić. Gdy Marcin Buchała, syn tutejszego dozorcy powrócił z więzienia, na które za jakieś przestępstwo był skazany, pan nasz, na prośby rodziców dał się nakłonić i przyjął go do służby. Z początku był dobry i pracowity, pan bardzo się cieszył, że mu się udało takiego człowieka naprowadzić na prawą i uczciwą drogę. Wkrótce spostrzegłam, że Marcin zaczyna coraz bardziej do mnie się zbliżać i pewnego dnia zapytał mnie wręcz, czy chcę go za męża. Odpowiedź moja jednak odebrała mu tę nadzieję i od tego czasu znienawidziła mnie cała Buchałów familia. Pragnęli mnie oczernić przed panem, co im się jednak nie udało i o mało, że Buchała miejsca nie stracił, pomimo to jednak przysięgli mi zemstę, i co postanowili, to wykonali. Nieboszczyk pan nasz w pogodne dni regularnie wychodził do parku na przechadzkę, przyczem mu często towarzyszyłam. Pewnego wieczora, a było to w czerwcu, poszedł sam, gdyż ja udałam się do pobliskiego młyna dla załatwienia interesu. Powracając o zmroku do domu, przechodziłam właśnie koło mieszkania Buchały, gdy usłyszałam głos Marcina miotającego klątwy, a potem rozpaczający jęk matki, z ciekawości zajrzałam do pokoju przez dziurkę od klucza i wtenczas to ujrzałam Marcina stojącego przed matką, załamującą w rozpa-

czy ręce, a na jej kolanach worek pieniędzy. Worek ten w tym dniu widziałam jeszcze w kufrze u pana i straszne myśli cisnęły mi się do głowy. Szybko przebiegłam schody, otworzyłam drzwi i wszedłszy do pokoju pana, spostrzegłam otwarty, próżny kufer. Nieprzytomna prawie od strachu chciałam pokój opuścić i biedz napowrót do młyna, gdy nagle usłyszałam kroki na schodach i do pokoju wszedł stary Buchała. Smiertelna bladość pokrywała jego oblicze i nogi drżały pod nim tak, że był zmuszony schwycić się krzesła, aby nie upaść. Pan nasz zamordowany! rzekł wreszcie z trudnością. Tam koło domku kóz leży z przerzniętem gardłem. Marcin powracający z miasteczka przez park, znalazł trupa. Powiedziawszy to, upadł na krzesło i zakrył twarz rękami, na których ślady krwi spostrzegłam.

Na tę straszną wiadomość pobiegłam z płaczem na miesce zbrodni. Tam na trawie leżał mój szlachetny dobroczyńca krwią zbroczony, a przez szyję ciągła się okropna rana. Uklękłam obok niego i podniosłam głowę w nadziei, że może życie jeszcze nie uciekło z niego, ale już był martwy, jak lód zimny. Widać, że morderstwo już dosyć dawno było spełnione. Z pokrwawionemi rękami i suknią wracałam do domu, nie wiedząc, co w tej chwili począć, gdy na mostku

zastąpił mi drogę Marcin. Dziki wyraz na jego twarzy zdradzał w nim zabójcę.

Wzdrygnęłam się na jego widok i drżąca cofnęłam się o kilka kroków. Domyślił się pewnie wstrętu, jaki wzbudził we mnie, gdyż porwał moją rękę i zawołał stłumionym głosem:

— Co to jest?.... dla czego uciekasz ode mnie? Czy myślisz, że ja jestem mordercą?

— Mordercą i złodziejem! — zawołałam. — Ty zabiłeś naszego pana i skradłeś jego majątek! Widziałam na własne oczy, jak oddawałeś matce worek z pieniędzmi!

Nie czekając odpowiedzi, szybko pobiegłam do mojej izdebki, wzięłam chustkę i kapelusz, chcąc uciec z tego domu nieszczęścia, gdy nagle na kurytarzu dały się słyszeć kroki Marcina. Z bijącem sercem stanęłam przy drzwiach nadsłuchując, gdy po chwili drzwi się otworzyły i morderca stanął przedemną.

— Anno! — rzekł zmienionym głosem — wiesz teraz wszystko i cóż myślisz uczynić?

— Uciec ztąd, oh! uciec jak najdalej z tego straszliwego miejsca!

— Lecz twoje suknie, twoje ręce są krwią splamione!

—Krwią mojego nieszczęśliwego dobroczyńcy! Puść mnie!

— Ha! to musiałbym być wielkim głupcem

— odpowiedział z straszliwym śmiechem. — Nie Anno, ty tu zostaniesz, nie wrócisz więcej do świata, chyba, jeżeli zostaniesz moją żoną!

— Człowieku! Czyś ty oszalał? — zawołałam oburzona.

— Jeżeli zostaniesz moją żoną! — powtórzył chłodno. — Słuchaj mnie Anno! Ty wiesz, że ja cię kocham, ale duma twoja kazała ci mną pogardzać. Inni także nie lepiej myślą o mnie. Oh! gdybyś ty wiedziała, ile nocy bezsennych strawiłem, płacząc gorzkiemi łzami, że świat tak mało ma litości nad człowiekiem, który raz błąd popełnił i dawno już zasłużoną karę otrzymał! Pewnego dnia prosiłem naszego pana, ażeby się wstawił za mną do ciebie, ale dostałem odmowną, gorzką odpowiedź; z tą odpowiedzią straciłem nadzieję, że będę kiedyś policzonym w poczet dobrych ludzi. Postanowiłem więc udać się do Ameryki. Prędkie wykonanie zamachu dało mi wyborny środek do tego. Ojciec mój schwycił mnie na gorącym uczynku i matka także wie o tem.

— Ale czyn twój nie będzie długo tajemnicą, podły morderco! — zawołam groźnie, trzęsąc się z przelęknienia i boleści.

— To właśnie jest to, dla czego pragnąłem z tobą pomówić. Jeżeli chcesz jechać ze mną do Ameryki, to przysięgam na Boga, że zostanę je-

szcze dobrym człowiekiem, a ciebie uważać będę za anioła, który mnie wyrwał z tej przepaści. Ten.. czyn w ogrodzie da się utrzymać pewien czas w tajemnicy, gdyż nieboszczyk nie miał z nikim żadnych stosunków, a skoro na jaw wyjdzie, będziemy wolni i bezpieczni. Dziś jeszcze musimy jechać. Konie czekają na moje rozkazy. Chcesz więc?....

Oczy jego dziwnie błyszczały, gdy wymawiał te słowa, a brzydką i bladą z przestrachu twarz swoją nachylał ku mnie.

— Precz nikczemniku! puść mnie! — zawołałam odpychając go od drzwi.

— Nie chcesz? Więc módl się, twoja ostatnia godzina już wybiła!

To mówiąc, zgrzytnął zębami i długi nóż wydobył z kieszeni. Teraz dopiero poznałam nierozważność mego postępowania względem człowieka, który, ażeby siebie ocalić, do wszystkiego był zdolny. Nikczemnik ten schwycił mnie za ręce i podniósł w górę ostry, błyszczący nóż. Wyrwałam się jednak z jego rąk i wołając o ratunek biegłam do drugiego pokoju w zamiarze wyskoczenia oknem. Zanim jednak zdołałam to uczynić, ten łotr schwycił mnie po raz drugi, ale w tej chwili drzwi się otworzyły i do pokoju wpadł Buchała ze swoją żoną i przytrzymali ręce temu krwiożerczemu mordercy.

— Wszystko zdradzone! zawołała żona. — Kowal przechodząc przez park, znalazł trupa i narobił krzyku! Anno! na miłość Boską nie rób nas nieszczęśliwymi!

— Ona nas zdradzi — zawołał Marcin—najlepiej, że umrze, a wtenczas sam djabeł nie dowiedzie nam zbrodni!

— Nie zabijaj, nie zabijaj jej! — krzyknął stary, drżąc cały. Słuchaj.... jaki gwar tam powstaje, lud się gromadzi i zdaje się, że mnie wołają.

— Dobrze więc — rzekł Marcin — trzeba się jednak zabezpieczyć, aby nam tymczasem nie zaszkodziła!

To powiedziawszy, posadził mnie gwałtem na krześle i usta chustką mi zatknął. — Związcie jej ręce i nogi, ojcze, potem zamknę ją we wieży.

Związano mi ręce i nogi, a Marcin zaniósł mnie do wieży, starzy tymczasem oddalili się. W parku coraz więcej było gwaru, a po chwili zbliżyli się ludzie niosący trupa mojego pana.

Izdebka w wieży jest bardzo maleńka i górna jej część tylko przypomina dziś już zniesioną wieżę; mury jej mają kilka łokci grubości, a wązkie, wysoko umieszczone okienko mało przepuszcza światła. Tu przyniósł mnie zabójca i położył na ziemi. Tymczasem głosy ludzi, którzy trupa przynieśli do mieszkania, stawały się coraz

wyraźniejszemi. Pomiędzy innemi usłyszałam wymawiane moje nazwisko. W pokoju, w którym przed chwilą Marcin groził mi śmiercią, znaleziono chustkę moją, zbroczoną krwią zamordowanego. — Tak panie, słyszałam moje nazwisko z dodatkiem zabójczyni!

Teraz wiesz pan wszystko! Nie godzą więcej na moje życie, ale zawsze jeszcze trzymają mnie we więzieniu. Marcin i jego rodzice nalegają na mnie, ażebym z pierwszym uciekła do Ameryki. Dowiedzieli się także, że dom ten ma być sprzedany, dlatego żądają odemnie ostatecznego postanowienia. Posłuszeństwo albo śmierć! — Szczęśliwym trafem usłyszałam tej nocy czyjeś kroki w pokoju nieboszczyka i głos mi nieznany. Ze słów przekonałam się, że ktoś zajmuje ten pokój i że zamknął kurytarz, zanim Buchała zdołał mnie w bezpieczniejszem ukryć miejscu. Z łatwością udało mi się odsunąć rygiel starych drzwi wieżowych, a drugie szczęście, że drzwi od tego alkierza tylko na zewnątrz były zaryglowane, ale nie zamknięte ze środka. Przybyłam tu jak nadziemskie zjawisko i proszę pana o wybawienie z rąk tych ludzi! — Ale i panu radzę być ostróżnym, bo najmniejsze podejrzenie z ich strony, że wiesz o tajemnicy, mogłoby cię życia pozbawić. Teraz wiesz pan wszystko, więc działaj, a spiesznie.

Postać Anny znikła znowu z tą samą tajemniczością, z jaką się była ukazała.

Jeszcze słońce nie podniosło się wysoko, gdy silne stukanie do drzwi od kurytarza zbudziło mnie ze snu. Sen miałem niespokojny i głowa mi ciężyła. Szybko ubrałem się i otworzyłem drzwi żonie Buchały, która mi kawę przyniosła. Zapytała mnie nieśmiałym, prawie drżącym głosem, czy dobrze spałem i czy nic nie przeszkadzało mi w nocy?

To pytanie przypomniało mi zdarzenie, jakie miałem w nocy. Spojrzałem na nią i na ustach drżała już odpowiedź, którąby całą tajemnicę zdradziła. Ale szybko, jak błyskawica, przyszło mi na myśl: Nie, to być nie mogło snem! A jeżeli rzeczywiście to dziewczę trzymają w zamknięciu?.... Ze spokojem, na jaki się zdobyć tylko mogłem, odpowiedziałem dozorczyni, że spałem doskonale i duch nieboszczyka pokutujący w tych pustkach, zrodził się tylko w wyobraźni mieszkańców. To oświadczenie ulżyło wielce starej, gdyż stała się zaraz weselszą i rozmowniejszą, tak, że kontent byłem, gdy się oddaliła.

Wypiwszy kawę, rozpocząłem poszukiwania w celu odkrycia wchodu do wieży. Ale nigdzie nie znalazłem owych drzwi, o których mi Anna mówiła. Po długiem bezowocnem szukaniu,

wziąłem kapelusz i laskę, ażeby przejść się po parku, którego jeszcze nie znałem. W sieni spotkałem Buchałę, który zdaje się czekał na mnie. Wyrzucałem sobie chwilowe podejrzenie, jakie miałem przeciwko tej niewinnej familii i pozdrowiwszy go uprzejmie, podałem mu rękę. I stary zdawał się być wzruszonym. Zapaliwszy cygaro, poprosiłem go ze sobą na przechadzkę, ale stary przepraszał mnie, że dla pilnych interesów towarzyszyć mi nie może, a i Marcina w domu nie ma. Rozmawiając tak, minęliśmy mostek i znaleźliśmy się na drugiej stronie rowu. Wtem spostrzegłem wystający rodzaj baszty, która dwa stare mury ze sobą łączyła. Doprawdy, to ta sama wieża, o której mi mówiła Anna, opisując swoje więzienie, pomyślałem.

— Ta baszta zdaje się być szczątkiem jakiejś starej wieży, rzekłem do Buchały.

— Zapewne, odpowiedział Buchała.—Dom ten był kiedyś zamkiem obronnym, a dziad mój opowiadał mi, że ta wieża była bardzo wysoka, a z niej otwierał się widok na całą okolicę. Górną część jej musiano jednak później znieść, bo groziła upadkiem. Baszta ta musiała także służyć za więzienie, gdyż w izbie wieżowej znajduje się jeszcze małe, wysoko umieszczone okienko.

Izba wieżowa — pomyślałem sobie — małe okienko — wszakże to samo mówiła mi Anna.

Starałem się, jak mogłem, ażeby ukryć moją niespokojność.

— A do czego służy teraz ta izba we wieży? zapytałem obojętnie.

— Nic tam w niej nie ma — odpowiedział stary — od niepamiętnych czasów nikt tam nie zaglądał i nie wiem nawet, czyby się klucz do niej znalazł. — Ale przepraszam pana, że się wrócę, gdyż obowiązek mnie woła.

— Czy nie chciałbyś mnie pan zaprowadzić do wieży? W takich starych murach znajdują się czasami stare zabytki albo nadzwyczajne osobliwości. Chodź pan.

Oblicze starego Buchały pokryło się śmiertelną bladością, zabełkotał coś niezrozumiale i oparł się o sztachety, które rów otaczały.

— Cóż to? czy wam słabo? zapytałem z zajęciem.

— Już od dni kilku cierpię na zawrót w głowie, odpowiedział Buchała, ale.... to już minęło.... przepraszam, muszę odejść.

Teraz byłem swego pewien! A więc to nie był sen! W tej baszcie więzili ci złoczyńcy nieszczęśliwe dziewczę, ale potrzeba było być bardzo ostrożnym, ażeby nie wzbudzić podejrzenia. Po półgodzinnej przechadzce w parku powróciłem do pustego dworu, gdzie z największą uprzejmością podziękowałem za gościnne przyjęcie, dając

zarazem do zrozumienia, że ponieważ dom ten nie odpowiada moim oczekiwaniom, nie mam ochoty go kupić.

Spiesznym krokiem udałem się do oberzy pod „białym niedźwiedziem“, gdzie konie i wóz zostawiłem i poprosiłem gadatliwą gospodynię o przewodnika, któryby mnie do sołtysa zaprowadził.

Wkrótce stanął przedemną znajomy mój, mały Kubuś, a po kilku minutach wszedłem do mieszkania wiejskiego burmistrza, który zarazem był sobie mydlarzem. Przyjął mię w swem roboczem ubraniu, ale z powagą króla, gdy daje poddanym swoim posłuchanie.

— Panie burmistrzu, rzekłem. Wiadomo panu o morderstwie, popełnionem w tak zwanym pustym dworze. Obwiniono o to młode dziewczę, które się czynu tego dopuścić miało i uciekło. Tak jednak nie jest. Familia Buchałów popełniła tę zbrodnię, a niewinną wspólniczkę ich tajemnicy więzi w starej wieży. W imieniu prawa wzywam pana, ażebyś się natychmiast udał ze mną do pustego dworu i przestępców aresztował.

Burmistrz stał przedemną jak wryty, z otwartemi ustami i wytrzeszczył oczy, ale wkrótce przyszedł do siebie i posłał po pomoc zbrojną.

Zanim sprowadzono ławnika, milicyanta i

wywoływacza, którzy się z nami udać mieli, opowiedziałem panu burmistrzowi ze wszystkiemi szczegółami pobyt mój w pustym dworze. Pocieszny był jego zapał, z jakim się gotował do wyprawy. Była tu i gorliwość w urzędzie i chęć pozyskania uznania i nagrody z góry. Po niedługim czasie zajechała urzędowa bryczka i ruszyliśmy do pustego dworu. Przybywszy na miejsce, udaliśmy się natychmiast do mieszkania Buchały, gdzieśmy właśnie wszystkich zastali przy obiedzie.

Gdyby z pogodnegc nieba piorun był wpadł do izby, nie sprawiłby większego przerażenia, jak to nasze ukazanie się. Buchale wypadł nóż z drżącej ręki a żona jego zakryła twarz fartuchem. Tylko Marcin zachował się spokojnie, a zwracając się do matki, rzekł z szyderczym uśmiechem.

— A co? czy nie miałem racyi? Otóż mamy znowu policyą na karku, dzięki naszej gościnności. Dla czegoście pozwolili obcemu nocować tam, gdzie pokutuje?

— Gdzie jest klucz od wieży?—zawołał burmistrz — dawajcie go, bo wszystko się wydało!

— Co się wydało? — zapytał Marcin.—Jeżeli pan chcesz iść do wieży, to nie mamy prawa temu się sprzeciwiać! Daj im ojcze — albo czekaj, ja sam tym panom otworzę.

I z wielkim spokojem wziąwszy mały klucz,

szedł naprzód. Ta obojętność przestraszyła mnie, a i burmistrz mi szepnął do ucha:

— Ten człowiek jest bez najmniejszej obawy i zdaje mi się, że napróżno idziemy — tam dziewczyny nie będzie!

Dotarliśmy wreszcie do izby wieżowej; małe, wązkie drzwi prowadzące do niej, były tak starannie ukryte, że tylko bystre oko mogło je dostrzedz. Marcin odsunął nieznaczny rygiel i weszliśmy do niskiej, ciemnej izdebki pełnej starych rupieci i gruzów, nigdzie jednak nie spostrzegliśmy, z czego można było wnosić, iż niedawno jeszcze służyła za mieszkanie dla żyjącej istoty.

Byłem przekonany, że nas oszukiwano. Na moją prośbę zarządził burmistrz w towarzystwie ławnika ścisłą rewizyą całego domu, ale nigdzie nie znaleźliśmy śladu dziewczęcia. W tem straszliwa myśl przyszła mi do głowy! Czy nie zabili jej po mojem odejściu, obawiając się zdrady?.... Marcin każdą skrytkę, każdy kącik skwapliwie odsłaniał przed nami, czuł się widać bezpiecznym i wiedział, że jego ofiara uszła rąk naszych. Po daremnych poszukiwaniach, wróciliśmy do mieszkania Buchały, gdzie oboje starzy zostawali pod dozorem milicyanta.

Protokuł, jakiśmy tu spisali, także nie doprowadził nas do żadnego rezultatu. Familia Buchałów poznała dobrze, jak wielce w obec mnie

zyskała, ja zaś musiałem być uważany za kłamcę, albo za głupca, który w sen uwierzył. I pan burmistrz wraz z ławnikiem i dwoma towarzyszami nie lepsze mieli o mnie wyobrażenie, a pierwszy rozpoczął nawet z Buchałą bardzo uprzejmą rozmowę. Marcin tylko zaczął się w groźny odzywać sposób. Oświadczył w swojem i rodziców imieniu, zwróciwszy się głównie do mnie, że nie mamy prawa napadać domu bez przyczyny i prosił burmistrza, aby mi natychmiast skargę wytoczono.

Nic nam nie pozostawało, jak opuścić pusty dwór, a ja zniechęcony i smutny złorzeczyłem chwili, w której tu przybyłem, gdyż sam zacząłem wierzyć, że to tylko nadzwyczajny sen jakiś trapił mnie w nocy. Zaledwie dwadzieścia kroków oddaliliśmy się od domu, idąc ku furtce parku, gdy nagle dopada zadyszany, blady i drżący Kubuś.

— Co ci to chłopcze? zapytał burmistrz — i skąd się tu wziąłeś?

— Uwiesiłem się w tyle u woza i przyjechałem niepostrzeżony. — Ale — tam — duch, duch nieboszczyka pana! I drżącą ręką wskazał mały Kubuś domek zaledwie o dwieście kroków oddalony.

— Duch?.... powiedz, co widziałeś! zawołałem, drżąc z niespokojności.

— Nie widziałem, ale słyszałem! Tam jeczy tak okropnie, że aż litość bierze!

— Panie burmistrzu — zawołałem — poślij natychmiast wszystkich trzech towarzyszy do domu, niech nikogo nie wypuszczają — zdaje się, że znajdziemy to, czegośmy szukali!

I rzeczywiście tak było. Obok domku dla kóz znaleźliśmy świeżo wykopany dół, nie większy od zwykłego grobu, w którym leżała z związanemi usty, rękami i nogami nieszczęśliwa dziewczyna. Dół przykryty był chróstem, gałęziami i sianem tak, że tylko poznać go było można po jękach, które zeń wychodziły. Posłaliśmy małego Kubusia czemprędzej do pobliskiego młyna i kuźni po ludzi i z ich pomocą zanieśliśmy nieszczęśliwą do domu.

Marcina po silnym oporze natychmiast aresztowano i związano; ten sam los spotkał też i matkę. Stary Buchała w zamieszaniu zdołał umknąć z domu, a zanim list gończy go oddał w ręce sprawiedliwości, znaleziono w pobliskiej sadzawce jego trupa.

Pustego dworu nie kupiłem. Annę i Kubusia wziąłem ze sobą. Pierwsza wyszła wkrótce za mąż, drugi się wyuczył ciesielstwa i porządnym jest człowiekiem.

Zbrodniarz uszedł kary ziemskiej, gdyż sam się powiesił we więzieniu. Przed sądem tłuma-

czył się, że po mojem odejściu do oberzy z pomocą [illegible] wyniósł Annę do przygotowanego lochu, gdyż przeczuwał, że dowiedziałem się o wszystkiem i że powrócę z urzędnikiem policyi. Żałował tylko, że owej nocy mnie także gardła nie przerznął!

Matka jego po dwuletniem więzieniu umarła w szpitalu.

Tak choroba mojego dziecka, które teraz zupełnem się cieszy zdrowiem, przyczyniła się do wykrycia tak haniebnej zbrodni.

Niezbadane są wyroki Opatrzności!

SREBRNIK.

LEGENDA NA CZAS WIELKANOCNY.

Było to wieczorem w czasie czterdziestodniowego postu przed wielu, wielu wiekami. Wśród zwiększającej się ciemności szło dwóch zakonników obok siebie w milczeniu, ciche tylko szepcząc modlitwy. Po lewej i prawej stronie na pustym stepie tu i owdzie tylko sterczał nizki krzaczek, w połowie jeszcze śniegiem i lodem pokryty, albo też karłowate drzewko sosnowe, rzadko tylko pojawiało się wyższe drzewo z nagiemi gałęziami. Przed wędrowcami w półmilowem oddaleniu odbijała od wieczornego nieba ciemna masa murów klasztornych, a z dala dochodził głuchy, przejmujący głos szumu fal morskich, które się z łoskotem rozbijały o niebotyczne skały brzegów północnego morza.

Obydwóch podróżnych serca przejęte były radością i błogim spokojem. Przed rokiem przeszło wysłani zostali do Rzymu i do Ziemi świętej, aby dla klasztoru przynieść na pamiątkę męki Zbawiciela ziemi z ogrodu Getsemańskiego i Golgoty, i inne relikwie, teraz zaś wracali szczęśliwie do swego klasztoru, przynosząc wiele świętych i drogich pamiątek. Nikt o ich powrocie nie wiedział, nikt ich się nie spodziewał, jakąż więc radość sprawi ich przybycie w klasztorze!

Takiemi przejęci byli myślami i o tem też rozpoczęli rozmowę, gdy się już do klasztoru zbliżali.

Naraz usłyszeli za sobą stąpanie, a gdy się obrócili, aby zobaczyć tego osobliwszego wędrowca, który prócz nich znajdował się w tem pustkowiu, ujrzeli wysokiego mężczyznę, zbliżającego się ku nim w ciemności.

Mimowolnie dreszcz przeszedł obydwóch i dziwną uczuli trwogę, gdy nieznajomy się zbliżył. Był ubrany jak pielgrzym, odziany szerokim płaszczem, miał na głowie szeroki kapelusz, a w ręku laskę pielgrzymską. Nieznajomy pozdrowił obydwóch i zapytał:

— Daleko tu ztąd do wsi Halmoe?

— Halmoe? — zapytał jeden z zakonników, — do Halmoe tu na lewo jeszcze trzy mile drogi; tamdotąd już dziś nie dojdziecie, mianowicie, że tam się gęsty las rozpościera, a nadto przechodzić musicie przez nadbrzeżne skał urwiska, które gruba mgła osłania. Chodźcie z nami i przenocujcie w klasztorze, to sobie wypoczniecie, a jutro możecie w pokoju pójść dalej.

— Dziękuję wam, — odpowiedział nieznajomy; — dla mnie nie ma ani wypoczynku, ani pokoju. Mnie trzeba iść dalej, a drogę już znajdę. Tymczasem za dobre serce wasze dam wam małą pamiątkę, jeżeli ją przyjąć zechcecie; pocho-

dzi ona z Ziemi świętej, z czasów Chrystusowych; dla mnie ona niepotrzebnym jest ciężarem, a u was w dobrem będzie schowaniu.

Zakonnicy z zadziwieniem spoglądali na nieznajomego pielgrzyma, ten zaś wydobył z pod płaszcza skórzany woreczek, roztworzył go, a przy świetle wychylającego się księżyca zabłysnął w oczach zakonników duży srebrny pieniądz.

— To jeden z tych trzydziestu srebrników, — rzekł nieznajomy głuchym głosem, —za które apostół swego Mistrza, Zbawiciela naszego zdradził i zaprzedał. Że jest prawdziwym, o tem sami się przekonacie, gdy go odbierzecie.

To mówiąc podał im woreczek.

Przerażeni odwrócili się obydwaj od tej monety, zbroczonej krwią ukrzyżowanego Zbawiciela i samobójcy Judasza.

— Weźmijcie, — nalegał nieznajomy, —klasztor wasz niech z tem zrobi, co chce; wam się ten pieniądz prędzej przyda, jak mnie.

Z niechęcią tylko i z obawą odebrał jeden z zakonników woreczek i schował go do zanadrza. Nieznajomy podziękował, odwrócił się i wielkiemi krokami oddalił się od nich i znikł w ciemności.

Zakonnicy szli jeszcze przez kwadrans, a w klasztorze widać już było oświetlone okna, gdy ten, który niósł ów woreczek, odezwał się do swego towarzysza:

— Bracie, tak mi ciężko i duszno! Zdaje się, że mi serce chce pęknąć, tętna mi biją jak w gorączce; jak gdyby zły duch wszedł we mnie od czasu, jak noszę ten pieniądz, który odebrał mi spokój, a przed oczy duszy stawia najczarniejsze obrazy rozpaczy. Jakież to okropne uczucie sprawia ten dar nieszczęsny! Ja go precz odrzucę, aby się tego nieznośnego niepokoju pozbyć.

— Nie, bracie, — prosił go towarzysz, — bo nużby go kto znalazł i większe jeszcze nieszczęście na siebie ściągnął? Oddaj mnie woreczek, a ja go do klasztoru zaniosę.

Towarzysz oddał mu woreczek. Niezadługo obaj przybyli do klasztoru i jeszcze tego wieczora musieli się stawić przed opatem, któremu oddali wszystkie drogie relikwie z Ziemi św., a na ostatku także srebrnik, opowiedziawszy zadziwionemu opatowi, w jaki go sposób nabyli. Opat udzielił im swego błogosławieństwa, położył wszystko obok swego łóżka na stoliczek i udał się na spoczynek.

Ale nagle obudził się wśród nocy, przerażony straszliwemi snami. Przed oczami duszy pojawił się mu Judasz zdrajca w tej chwili, gdy popełnia najokropniejszą zbrodnię, jaką człowiek popełnić zdoła — gdy niegodnie pożywa Ciało i Krew Pana Jezusa. Wydawał się jemu jako sza-

tan, który swą czarną, obrzydliwą paszczęką Najświętsze Ciało pochłania — — —

Otrząsnąwszy się z tego snu straszliwego, zasnął znowu i widział Judasza, jak Pana nieba i ziemi zaprzedaje za kilka srebrników, potem go znowu ujrzał na owej roli krwi, wieszającego się na drzewie.

Rozpacz, przerażenie i trwoga, jak gdyby całe piekło na nim ciężyło, wypędziły opata z łóżka. Chciał się modlić, ale mu się zdawało, że mu zdrajca gardło dławi i ręce krępuje — nie mógł się modlić, niewymowną trwogą gnany wyszedł na kurytarz, zeszedł ze schodów do celi przeora, aby u tego szukać pociechy. Ale z tym to samo się działo, co z opatem. Skoro tylko ujrzał ów nieszczęsny srebrnik, poczuł i on ten sam niepokój. Obaj nie umieli sobie inaczej poradzić, jak tylko pójść do kościoła i tam noc przepędzić u stóp ołtarza przed Najświętszym Sakramentem.

Nazajutrz wezwał wszystkich zakonników do kapitularza, opowiedział zgromadzonym o tym straszliwym darze, który powracający bracia otrzymali od owego zagadkowego wędrowca i wezwał do narady, co teraz z owym srebrnikiem począć. Z przerażeniem zbliżali się zakonnicy do stołu, na którym leżał srebrnik, a przewracając go, aby go z obydwóch stron obejrzeć, nie

śmieli go dotknąć rękami. Połyskiwał on jak nowy; na jednej stronie był kielich z staro-hebrajskim napisem, na drugiej stronie różczka z troistem kwieciem — różczka Aaronowa, a naokoło niej również hebrajski napis. Na jednej stronie była u brzegu ciemno-czerwona plama — czy rdza, czy krew, trudno było rozróżnić. Wśród dreszczu przypatrywali się zakonnicy temu srebrnikowi.

— A więc trzydzieści takich kawałków srebra — i za to zdradził ten nieszczęśliwy naszego Zbawiciela i utracił wieczną szczęśliwość! — zauważył jeden z obecnych.

—I piekło sobie kupił,—dodał drugi i wskazał na czerwoną plamę.

— Jakie to zaślepienie, jaka gwałtowna namiętność — za kilka takich kawałków kruszcu zaprzedać Zbawiciela!

— A któż to mógł być ten, co wam ten srebrnik dał? — zapytał inny jednego z pielgrzymów.

— Nie wiemy, — odpowiedzieli zamyśleni.

— Ja wiem, — odezwał się jeden stary zakonnik, który ich opisu z uwagą słuchał, — to chyba był wieczny żyd.

Po długiej naradzie zgodzono się wreszcie na to, aby srebrnik wmurować w ścianę kurytarza klasztornego.

Stało się tak, ale murarze mieli wiele pracy, zanim dzieła dokonali. Zdawało się, jakoby mur nie chciał nieszczęsnego srebrnika przyjąć, bo długo opierał się narzędziom, aż wreszcie po długich mozołach zdołano w murze wykuć otwór i włożyć weń srebrnik i otwór znowu zamurować. Ale i to ostatnie także tylko z trudem się udało. Kamień i wapno, któremi otwór zamurowano, zdawał się ustępować, aby nie mieć styczności z zapłatą zdrajcy; ponownie kamień wypadał, aż wreszcie się udało zamknąć otwór w sztuczny sposób. Lecz i to nie pomogło. Nazajutrz cały mur był w tem miejscu, w którem srebrnik zamurowano, wilgotny i mokry, chociaż ściana poprzednio zupełnie była sucha. Zdawało się, że ściana się poci, tak woda z niej występowała. Zaledwie trzy dni upłynęły, mur w onem miejscu zaczął się kruszyć, a niezadługo obok wmurowanego kamienia i srebrnik leżał na ziemi, jakoby ze ściany wyrzucony.

Teraz wrzucono go do stawu w ogrodzie, ale staw zaczął wysychać szerząc straszliwe wyziewy, a żaby i wodne płazy uciekały od niego, od strasznej zapłaty zdrady na Zbawicielu dokonanej.

Następnie zakopano srebrnik w ziemi w ogrodzie. Lecz i tu pokazały się straszne skutki, bo trawa i wszystkie rośliny naokoło uschły, jakoby za zbliżeniem się zimy; ziemia wzdrygała

się trzymać w swem łonie przeklęty pieniądz, bo niezadługo wyrzuciła go ze siebie, tak że leżał na powierzchni.

Najstraszliwszą jednakże rzeczą było, że mieszkańcy klasztoru zdawali się zupełnie być zmienieni od czasu, gdy zapłata judaszowa w obrębie klasztoru pozostawała. Te same uczucia, których doznawali obaj bracia pielgrzymi i później opat, ogarnęły teraz wszystkich zakonników. Utracili spokój i swobodę ducha, a natomiast ogarnęły wszystkich straszliwy niepokój, tęsknota i niewypowiedziany smutek. Była to jakoby klątwa szerząca rozpacz, jak gdyby wszystka rozpacz, rozdzierająca wiecznie serca potępionych w piekle, wkradła się do klasztoru i do serc wszystkich jego mieszkańców. Nie było tam już ani uśmiechu, ani wesołego spojrzenia, ani wdzięcznej modlitwy, ani oznaki miłości i pokoju; wszyscy chodzili jakoby potępieni i skazańcy, pełni niedowierzania wzajemnego, podejrzliwości, posępni i upadli na dachu. A jednakowoż nikt nie miał grzechu na sumieniu!

Jakież to muszą być męki potępionego Judasza w piekle, jaka to okropna klątwa, jaka to niezmierna, straszliwa kara musi czekać tego, który jest „winnym Ciała i Krwi Pańskiej,“ skoro już takie objawy przywiązane są do monety tylko, która z nim miała styczność! O dobry Zba-

wic'elu, zachowaj nas od nieszczęśliwej śmierci i świętokradzkiego przyjmowania Najświętszego Sakramentu!

Wreszcie nie było podobieństwem wytrzymać dłużej, to widział każdy; klasztór byłby, jakoby przez niewidzialnego nieprzyjaciela, wewnętrznie zupełnie został zburzony.

Zakonnicy zgromadzili się ponownie w kapitularzu i naradzali się, jakim sposobem nieszczęsny srebrnik uczynić nieszkodliwym.

Gdy wszyscy byli zebrani, powstał wielebny opat i uroczysta zapanowała cisza.

— Straszną naukę w tych dniach odebraliśmy, bracia,—rozpoczął z powagą i wzruszeniem. — Wiecie, co mam na myśli. Mamy pośród siebie część tej ceny Krwi, za którą występny apostół zdradził swego Mistrza a naszego Zbawiciela, a jakoby ten pieniądz miał udział w rozpaczy i mękach piekła, do którego wtrącony został dawniejszy jego właściciel, jest i do niego przywiązana klątwa szerząca rozstrój i niepokój. Jakoby krzyk przeraźliwy rozpaczy potępionego apostoła dla swych wiecznych i nieskończonych mąk w piekielnej otchłani, głosi nam ten nieszczęsny pieniądz najwymowniej tę straszną prawdę, że jest sprawiedliwy sąd Boży, że jest piekło. Cóż się dziać musi w duszy tego nieszczęśliwego, którego męki głosi ten pieniądz! Jaką on straszną

cierpi karę, jaka go bezdenna ogarniać musi rozpacz, jakie boleści bez końca krępują go już od 1800 lat i po wszystkie wieki i dręczą go nieprzestannie dniem i nocą! Jakież ogarniać go muszą uczucia i co teraz sądzi o swej zbrodni i o nagrodzie, jaką otrzymał od świata: trzydzieści srebrników za wieczną szczęśliwość! Jakże on teraz przeklinać musi ten pieniądz, który go pozbawił Boga i Zbawiciela, łaski i pokoju, szczęścia i nieba! O bracia moi, gdy ten klasztor zamieni się w gruzy, a my wszyscy w proch się obrócimy — Judasz żyć będzie; a gdy i świat cały w proch będzie starty, i tysiące i miliony lat przeminą, i wieczność dawno się rozpoczęła, — wtenczas on w swych mękach wciąż jeszcze przeklinać będzie ten pieniądz i szatana i siebie samego, że się nie przezwyciężył i nie słuchał napomnienia dobrego Pana swojego, którego był kiedyś apostołem! Dla tego, bracia moi, obawiajmy się samych siebie i naszych namiętności; nie dawajmy im żadnej wolności, stłumiajmy je, módlmy się i czuwajmy, abyśmy nie weszli w pokuszenie i nie byli w niem na wieki zatraceni, tak jak ten nieszczęśliwy!

I całe zgromadzenie padło na kolana, wszyscy wznieśli ręce ku niebu i w świętej trwodze i z drżeniem przed strasznie blizkiem potępieniem modlili się gorąco:

— O Panie, Boże Ojcze i Zbawicielu nasz, Jezu Chryste, nie oddawaj nas w moc naszych namiętności i chuci! Wybaw nas ode złego, nie wódź nas na pokuszenie, wzmocnij nas w dobrem przeciwko własnej naszej słabości i wrodzonemu nam lenistwu! A Ty, Najświętsza Matko Boża, uproś nam u tronu Bożego największą łaskę, abyśmy byli wytrwali i dobrowolnie nie dopuścili żadnego grzechu. Amen!

Następnie naradzali się, co teraz począć z srebrnikiem, skoro go ani kamień, ani ziemia, ani woda przyjąć nie chcą i ponieważ z jego obecnością jakoby niewidzialny, straszliwy powiew z miejsca wiecznego zatracenia nad klasztorem się unosił i wszystkim jego mieszkańcom odbierał pokój, miłość, wesele, żarliwość i błogą nadzieję.

Wreszcie zauważył jeden z zakonników:

— Może moc złego zostanie złamaną, gdy ten srebrnik zamkniemy w jakim przedmiocie poświęconym, przeznaczonym do służby Bożej. Znaną przecież jest rzeczą, że złe świętością przezwyciężyć można.

Na to odezwał się inny:

— A czy to nie będzie zbezczeszczeniem świętości, gdy rzecz świętą połączymy z przeklętą zapłatą zdrady judaszowej? A zresztą gdziebyśmy ten srebrnik umieścili, czy może w ołta-

rzu, albo w relikwiarzu? Nie byłoby to w rzeczy samej zbezczeszczeniem?

— Nie tak, — odpowiedział pierwszy, — miałem na myśli, abyśmy z tego srebrnika zrobili coś, coby do służby Bożej służyło, np. sprzęt jaki z tego srebra ulali, stopili go, pomieszali z innem srebrem i z tego ulali podstawę krzyża lub lichtarza. Niejeden okrutnik pokutujący przerobił złotą rękojeść swojego miecza, tego narzędzia mordów, na krzyż, niejedna dostojna pani przerobiła swe stroje i klejnoty, które służyły jej pysze, na święte szaty kościelne, a w ten sposób zamieniło się to, co było narzędziem złego, w środek do dobrego. Tak też sądziłbym, że z kruszcu tej przeklętej monety możnaby zrobić jaki środek do dobrego i do błogosławieństwa Boga.

— Brat ma racyą, — odezwał się na to opat, —i aby pomysł jego urzeczywistnić, zrobię zaraz propozycyą, która mnie się zdaje najstósowniejszą. Wiecie, że mamy podostatkiem świętych naczyń kościelnych, krzyży, lichtarzy itp., a natomiast potrzeba nam nowego dzwonu w miejsce tego, który nam niedawno pękł. Jakby tedy to było, gdybyśmy ten srebrnik wrzucili do roztopionego kruszcu, przygotowanego do ulania dzwonu? Tu postać jego zupełnie by została zniszczoną, a kruszec jego pomieszałby się z dru-

gim, tak iżby zupełnie w nim znikł, a zła materya, odrobina mała w porównaniu do całości, zostałaby w ten sposób uświęconą. W ten sposób nie mogłaby mieć już złych skutków i musiałaby z resztą kruszcu zabrzmieć dla chwały Bożej, ilekroćby dzwon się odezwał, czy to na Anioł Pański, czy w czasie Podniesienia, czy też na nabożeństwo. Dla tego jestem tego zdania, aby srebrnik wrzucić do kotła przy laniu dzwona. Abyśmy zaś jak najprędzej pozbyli się tej nieszczęsnej monety, zajmiemy się natychmiast przygotowaniami do ulania dzwona.

Wszyscy obecni zgodzili się na ten pomysł. Nazajutrz zaraz sprowadzono ludwisarza, poczyniono wszystkie przygotowania, a w kilkanaście dni potem nastąpiło lanie dzwona. Gdy już masa kruszcowa w piecu się roztopiła i jakoby ogniste morze zaczęła się poruszać, wtenczas opat ją pobłogosławił i wrzucił do niej srebrnik.

Ale poświęcony kruszec w straszliwy sposób zaczął wrzeć i szumieć, gdy zapłata zdrajcy do niego została wrzucona. Nikt nie mógł się do pieca zbliżyć, bo na wszystkie strony wytryskiwała ognista masa. W tym wirze srebrnik ze swoją czerwoną ognistą plamą wciąż na wierzch wypływał i zdawało się, jakoby wytopiony kruszec chciał go wyrzucić i pozbyć się tego przeklętego przedmiotu. Jednakże to się nie udało

i ostatecznie widziano, jak się srebrnik zwolna rozpuścił, a połyskujące jego srebro się rozpłynęło i pomieszało się z resztą kruszcu. Powoli też płynna masa zupełnie się uspokoiła i teraz można było dzwon ulać. Dymiący kruszec popłynął do formy. Gdy po ostygnięciu formy takową rozebrano, stał dzwon ukończony i połyskujący w promieniach słonecznych. Srebrnika nie było już śladu, natomiast ujrzano na brzegu dzwona tę samą plamę krwawą, która była widoczna na srebrniku.

Nazajutrz dzwon uroczyście poświęcono i nadano mu imię Piotra, tego Apostoła, który za grzech swój pokutował, w przeciwstąwieniu do Judasza, który się oddał rozpaczy; następnie dzwon zawieziono i zabrano się do wypróbowania jego głosu.

Z największem zaciekawieniem oczekiwali wszyscy pierwszego tonu nowego dzwona.

Pociągnięto za liny, potężny kolos zaczął się zwolna poruszać, serce po raz pierwszy uderzyło a z metalowej piersi dzwona odezwał się ton taki okropny, tak straszliwy, bolesny, jakoby jęk największej rozpaczy, że słuchaczom krew się w żyłach ścinała.

— Takiego przerażającego głosu boleści jeszcze świat nie słyszał, — zauważył jeden stary zakonnik, — to jest, jakoby krzyk rozpaczy z

samego piekła, z piersi całego legionu potępieńców.

To prawdziwe wycie dzwonu napełniło zakonników straszną trwogą i rozpaczą.

Tak rozpaczliwie jęczą i wyją chyba tylko potępieńcy w przepaści odwiecznej — zauważył drugi zakonnik.

— Takiego dzwonienia my potrzebować nie możemy, — mówił trzeci zakonnik, — bo ono nie zwiastuje pokoju i błogosławieństwa Bożego, a przekleństwo i najwyższy niepokój.

Straszliwy istotnie był głos tego nieszczęsnego dzwonu. Z całej okolicy schodzili się ludzie i pytali przerażeni, jakie się stało nieszczęście? Zwierzęta chowały się i kryły przestraszone, a nawet sami zakonnicy nie mogli się oprzeć uczuciu trwogi i dreszczu na ten przenikliwy, straszny głos, podobny do daremnego wołania o pomoc człowieka na niechybną śmierć prowadzonego, wołania, w którem się wszystkie strachy śmiertelne, cała bezdenna przepaść rozpaczy przebijały.

— Dosyć tego! — rzekł opat do głębi wzruszony, — niech więc ten dzwon wisi spokojnie. Nie będziemy już weń dzwonili, ale zadowolnimy się resztą dzwonów.

Zaraz też odjęto liny, a dzwon odtąd wisiał opuszczony i nieużywany.

Tymczasem wielki post się kończył. Minęła Niedziela Pasyjna i cały tydzień z piątkiem Matki Bozkiej Bolesnej; minęła i Palmowa Niedziela i rozpoczął się święty wielki tydzień.

Już od kilku dni uważano, że dzwon, w którym był srebrnik zdrajcy Judasza, zaczął się kołysać, jakoby niewidzialnemi rękami poruszany. Wieczorami i nocami wychodził od niego niewyraźny ton, tajemnicze brzęczenie, niespokojna, rozpaczliwa skarga, a głos ten stawał się tem głośniejszym, wyraźniejszym i dłużej się odzywał, im więcej się zbliżały dni męki Pańskiej.

W klasztorze panowała święta, poważna cisza. W największem skupieniu ducha mieli zakonnicy w tym czasie myśl swą skierowaną tylko ku jednemu celowi: ku Zbawicielowi i Jego męce. Od godziny do godziny towarzyszyli Mu w duchu w Jego męce i cierpieniach, żadna myśl doczesna nie zakłócała ich skupienia. Męka Chrystusowa była jedynym przedmiotem ich myśli, rozważania, naśladownictwa, ich rozmowy, ich snów nawet, gdy na krótki udawali się spoczynek. Goretsze jak w innych latach było to usposobienie zakonników, a każdy byłby z radością oddał świat cały i wszystkie jego rozkosze, gdyby miał wybór pomiędzy niemi a obrazą Zbawiciela.

Tak zbliżył się wieczór przed Wielkim Czwar-

tkiem, tym dniem, w którym Zbawiciel Ciało swe i Krew jak niebieskie manua ustanowił dla człowieka, poczem przez Judasza zdradzony, mękę swoją rozpoczął.

Wszyscy zakonnicy zebrani byli w kapitularzu. Głębokie milczenie panowało w całem zgromadzeniu. Jeden tylko dźwięczny, poważny głos czytał ustęp z Pisma św., jakto Pan Jezus z apostołami i uczniami po raz ostatni zasiadł do wieczerzy, co do nich mówił i jak za nich arcykapłańską swą modlitwę zanosił do Boga.

Lektor czytał dalej równym, uroczystym głosem:

,,A gdy oni jedli, rzekł: Zaprawdę powiadam wam, iż jeden z was mię wyda. I zasmuciwszy się bardzo, poczęli każdy mówić: Azażem ja jest Panie? A on odpowiadając, rzekł: który macza ze mną rękę w misie, ten mię wyda. Syn ci człowieczy idzie, jako napisano o nim: ale biada onemu człowiekowi, przez którego syn człowieczy będzie wydan: dobrzeby mu było, aby się był nie narodził on człowiek. A odpowiadając Judasz, który go wydał, rzekł: A zażem ja jest Mistrzu? Rzekł mu: Tyś powiedział''.

Podczas gdy tę smutną scenę, która się ongi we wieczerniku w Jerozolimie pomiędzy Panem a Judaszem odgrywała, wśród ogólnego milczenia w kapitularze klasztornym odczytywano, sły-

szano od czasu do czasu uderzenie dzwonu Piotra, jakoby go niewidzialne ręce na wieży poruszały. Był ten głos podobny do jęku potępieńca z odwiecznej przepaści zatracenia.

Lektor czytał dalej o ustanowieniu Najśw. Sakramentu i jak to apostołowie przyjmowali ten Najśw. Sakrament z ręki swego Boga i Zbawiciela, a pomiędzy nimi był także Judasz nieszczęśliwy, który Ciało i Krew Chrystusa Pana niegodnie pożywał. Straszne to opowiadanie zapisane jest u Jana św. „I wy jesteście czystymi, ale nie wszyscy. Albowiem wiedział, którýby był, co go miał wydać, dla tego powiedział: Nie jesteście wszyscy czystymi....“ I dalej czytał, jak Zbawiciel apostołom swoim zbawienie wieczne przyobiecuje, a potem dodaje: „Nie o wszystkichci was mówię: ja wiem którem obrał. Ale żeby się wypełniło pismo: Który je zemną chleb, podniesie przeciwko mnie piętę swoję“.

Następnie odczytał lektor to straszliwe miejsce, jak Pan zatwardziałemu uczniowi podaje kęs chleba i rozkazuje mu grono apostołów opuścić: „A omoczywszy chleb, dał Judaszowi Symona Iszkaryoty. A po sztuczce wstąpił weń szatan. I rzekł mu Jezus: Co czynisz, czyń rychlej. — On tedy wziąwszy sztuczkę, natychmiast wyszedł. A noc była“.

Okropny przerażający dźwięk przerwał czy-

tającemu zakonnikowi i wszystkich zgromadzonych na wskroś przeszył dreszczem. Jakoby ręką duchów poruszany, brzmiał złowrogi dzwon straszliwemi jękami z wieży. Nieskończona boleść, niezmierny smutek, żal bez nadziei, krzyk rozpaczy, wściekłość bezwładna i szyderczy szatański śmiech — wszystkie te straszliwe dźwięki brzmiały razem w tem dziwnem dzwonieniu.

W zakonnikach krew się ścinała. Wreszcie zamilkło dzwonie, dzwon się uspokoił, a tylko cichy, grobowy dźwięk drżał jeszcze w powietrzu.

Opat powstał uroczyście.

— Bracia, — rzekł, — na zbawienie biednej duszy waszej, na ostatnią waszą godzinę śmierci błagam i zaklinam was, abyście Przenajświętsze Ciało i Krew Pańską jutro godnie przyjęli! Dzwon, którego okropny dźwięk co dopiero słyszeliśmy, opowiada nam wymownie tę straszliwą klątwę, jaka na tym spoczywa, który według nauki apostoła Pawła św. winien jest Ciała i Krwi Pańskiej, pożywając je niegodnie. Prośmy i błagajmy Boga wśród łez, aby pomiędzy nami nie znalazł się Judasz, gdy jutro przystąpimy do Stołu Pańskiego, a przysposóbmy się tej nocy całem sercem na godne przyjęcie Przenajświętszego Ciała i Krwi Chrystusowej!

Do głębi wzruszeni wyszli zakonnicy ze sali,

aby się udać do cel swoich na spoczynek. Niejeden jeszcze długo klęczał przed swojem łożem, w gorącej modlitwie prosząc Boga o odpuszczenie grzechów, z których dawno się już wyspowiadał i za które pokutował, obiecując zarazem nie grzeszyć nadal ze świadomością i wzywając pomocy Matki Bozkiej i Swiętych Pańskich na uproszenie sobie łaski godnej Komunii św.

Nazajutrz, we Wielki Czwartek, gdy sędziwy opat wśród nabożeństwa wszystkim mieszkańcom klasztoru rozdawał Komunią św., zaświeciła w oku jego łza radości. Z jakiem to skupieniem i nabożeństwem wszyscy do Stołu Pańskiego przystępowali! Jakże to głębokie uszanowanie, jaki spokój niezakłócony, jaka szczera wiara, jaka głęboka nadzieja, jaka święta, prawdziwa miłość przemawiały z ócz i z całego rozpromienionego oblicza tych, którzy do Stołu Pańskiego przystępowali! Nie było pomiędzy wszystkimi nikogo, któryby nie był komunikował z najświętszem skupieniem i najgorętszem nabożeństwem.

— A więc obróciłeś, Panie, w niezmierzonej swej dobroci złe ku dobremu, narzędzie piekła ku pozyskaniu dusz, straszliwą pamiątkę po zdrajcy Twego Ciała i Krwi Twej ku pomnożeniu nabożeństwa dla tego Najśw. Sakramentu!—

dziękował opat po ukończonem nabożeństwie z głębi serca.

Przekonano się jednakże, że ten dzwon nieszczęsny nie może dłużej spokojnie wisieć obok drugich. W pewne dni i noce odzywał się od czasu do czasu straszliwy jego głos, a wtenczas serca wszystkich, którzy go słyszeli, przenikało przerażenie i rozpaczliwa trwoga. A gdy w inne dzwony zadzwoniono i razem z drugiemi tak że ten dzwon poruszono, wtenczas zamieniało się harmonijne ich brzmienie w okropne piekielne wycie, które zamiast pociechy i radości zwiastowało trwogę i przerażenie. A podczas gdy dotychczas burze i pioruny klasztor omijały, to teraz właśnie nad samym klasztorem najgroźniej się gromadziły, a gdy wicher wpadł do wieży i poruszył dzwon Piotrowy, tak że się okropnym dźwiękiem odezwał, natenczas zdawało się, jakoby to był sygnał do rozpuszczenia wszystkich piekielnych potęg złych duchów w nawałnicy, a dzwonienie drugich dzwonów nie miało już żadnego skutku. Pioruny wtenczas biły na wszystkie strony jak ogniste snopy, na głos straszliwego grzmotu drżał cały klasztor w swych posadach, a czarne chmury otoczyły go jakoby wojska piekielnych duchów, pragnących ten przybytek chwały Bożej zdruzgotać i zniszczyć. Deszcze ulewne pustoszyły ogród klasztorny, pioru-

ny rozrywały i niszczyły drzewa, a cały klasztor w śmiertelnej był trwodze, gdy nowa nawałnica od morza się zbliżała. Sąsiedzi i mieszkańcy okolicy przybiegli zatrwożeni i pytali, gdzie pomoc święconych dzwonów przeciwko burzom i nawałnicom, gdzie się podziała moc ich zażegnywania? Dawniej wszystkie burze i nawałnice uchodziły przed dźwiękiem poświęconych dzwonów klasztornych na dalekie morza, a teraz wszystkie fale nadciągają na klasztor i okolicę, a zamiast dźwięku świętych dzwonów pokój zwiastującego, wyje wśród grzmotów i piorunów straszliwy dzwon judaszowy, jakoby śmiechy szydercze szatana i rozwścieklone żywioły do nowych spustoszeń zapala!—Tak więc znowu obradowano w klasztorze, co począć z tym nieszczęsnym dzwonem.

Po krótkiej naradzie odezwał się opat:

— Zdaniem mojem najlepiej będzie, wywieść dzwon zupełnie daleko od zamieszkałego lądu i pogrzebać go w przepaści, podobnej do tej w jakiej znajduje się obecnie Judasz, którego klątwa na dzwonie ciąży. Wywieziemy go na brzeg morza, tam go złożymy na okręt, wyjedziemy z nim w odludną wodną pustunię, daleko od drogi, którędy zwykle przejeżdżają okręty, i tam go spuścimy do głębokiej otchłani morskiej. Tam

niech spoczywa ze swojem przekleństwem, tam też ludziom nigdy nie zdoła zaszkodzić.

Na to wszyscy się zgodzili. Tak tedy dzwon zdjęto z wieży i odwieziono na brzeg morza oddalonego tylko o kilka mil. Nazajutrz wyruszył opat z wielu braćmi zakonnymi, chcąc błagać Boga, aby drogi okrętów na morzu zachował przed klątwą nieszczęsnego dzwona i piekła, i chcąc być świadkiem, że dzwon istotnie wrzucony został do morza.

Okręt był już u brzega przygotowany, a dzwon przewieziono do niego na tratwie, wciągnięto na okręt, a następnie zakonnicy także za jęli na okręcie miejsca. Podniesiono kotwicę, wiatr nadął żagle, a okręt zwolna począł się oddalać od lądu, posuwając się naprzód w niezmierny ciemny ocean, z którego niezliczone czarne skały po lewej i prawej stronie groźnie sterczały.

Daleko, kilka mil od lądu, w miejscu oddalonem od zwykłej drogi okrętów, zwolnił okręt biegu.

— Tu w tem miejscu niezmierna być musi głębina, — zauważył sternik.

Natychmiast zabrano się do zrzucenia dzwona we wodę. Zanim jednakże to nastąpiło, stanął przy nim opat ze swymi towarzyszami i symbolicznie zdjął z niego poświęcenie, które nań kie-

dyś zostało włożone. Straszliwie to brzmiało, gdy odczytał miejsce z Dziejów Apostolskich, w którem Piotr św. mówi o odrzuceniu Judasza, a które to miejsce odnosiło się także do dzwona, z którego zdejmowano poświęcenie. Mocno wzruszeni słuchali wszyscy tych słów: ,,Musiałoć się wypełnić pismo, które opowiedział Duch święty przez usta Dawidowe, o Judaszu (który był wodzem tych, co pojmali Jezusa). Który był policzony z nami i dostała mu się cząstka tego usługiwania. A onci otrzymał rolą z zapłaty niesprawiedliwości: a obiesiwszy się rozpukł się na poły, i wypłynęły wszystkie wnętrzności jego. I stało się jawno wszystkim mieszkającym w Jeruzalem: tak iż nazwano onę rolą ich językiem Haceldama, to jest, rola krwi. Albowiem napisano w księgach Psalmów: Niechaj będzie ich mieszkanie puste, a niech nie będzie ktoby w niem mieszkał, a biskupstwo jego niech weźmie drugi''. I dalej czytał opat, jak pierwsze zgromadzenie chrześcian się modliło o następcę nieszczęśliwego zdrajcy: „aby wziął miejsce usługowania tego i Apostolstwa, z którego wypadł Judasz, aby odszedł na miejsce swe''. Następnie uderzył opat młotem silnie o dzwon, który ostatni wydał jęk, jakoby go miał zdruzgotać, a potem przysunięto go do krawędzi okrętu; jeszcze raz zakonnicy gorąco się pomodlili, aby Bóg o

kręt zachował od nieszczęścia, poczem dzwon strącono w głębinę morską.

Wszystkich oczy zwrócone były na dzwon, wpadający w nurty morza. Ale zaledwie dzwon dotknął się powierzchni morza, usunęły się wody naokoło, jak gdyby nie chciały się jego dotykać; pod spadającym dzwonem rozdzierał się sam otwór aż do samej głębiny dna morskiego; jakoby mur stały wody naokoło, a w środku nich wpadał jakoby w niezgłębiony szyb, klątwą obarczony dzwon. Tysiące łokci głęboko stał niezmierny otwór nieruchomy, ciemny, czarny, straszliwy. Od czasu do czasu zamigotał w głębi blask jego, lub też głuchy dochodził głos, a wciąż jeszcze leciał w bezdenną przepaść, — obraz nieszczęśliwego człowieka, który przez sąd Boży potępiony, ostatnią swą podróż odbywa do odwiecznej przepaści, do nieskończonej ciemności, aby być na wieki żywcem pogrzebany w miejscu katuszy bez końca. Raz jeszcze się on odwróci i spojrzy na świat i jego rozkosze, za które wieczne swe szczęście zaprzedał, raz może jeszcze wyda krzyk rozpaczy, — a potem zamilknie jego wołanie i oko jego pogrąży się w nieskończonej, wiecznej ciemności.

Teraz zdawało się, że dzwon padł na dno morza; u spodu morze zaczęło się poruszać, a znak ten w szalonym pędzie zbliżał się ku górze.

Z głębi otchłani huczało i szumiało straszliwie; wody rzuciły się w otchłań, która się zamknęła, wyrzucając strumień wody w niesłychaną wysokość i straszliwe wzburzając bałwany; niezmierny, wściekły wir zaczął szaleć naokoło i pochwycił okręt w piekielny swój taniec.

— Zginęliśmy! — zakrzyknął sternik i jego pomocnicy.

Ale u steru stanął w tej chwili mąż nieznajomy, ubrany w starożytny, poważny strój, składający się z długiej szaty i szerokiego płaszcza, z poważnem i czcigodnem obliczem, z siwiejącą brodą i kosmykiem siwiejących włosów na wysokiem, wyłysiałem czole. Cała postać otoczoną była słabem, mglistem światłem. Trzymając jedną ręką ster, drugą wyciągnął ku szumiącemu wirowi, i jakoby niewidomą siłą party, sunął okręt naprzód, przerzynając lekko i śmiało sam środek wściekłych prądów straszliwego wiru, aż stanął na otwartem morzu, o milę całą od ostatniego koła prądu. Tu znikł nieznajomy sternik, a okręt bez szwanku przybił do brzega.

W milczeniu wyszli na ląd zakonnicy i żeglarze. Cud widoczny ich ocalił. Piotr święty, — bo nikt inny być nie mógł tym cudownym sternikiem, — ocalił okręt, a opat zauważył:

— Swięty Piotr uczynił to, aby w przeciwstawieniu do Judasza, który się oddał rozpaczy,

nas pouczyć, że przez prawdziwą pokutę i wezwanie miłosierdzia Bożego, jak on to kiedyś uczynił po swoim upadku, każdy grzesznik od mocy piekła wybawiony być może, chociażby według ludzkiego sądu ratunku dla niego nie było:

— Bez tej cudownej pomocy, — mówili żeglarze, — nie byłby okręt nigdy zdołał wydostać się z wiru.

Jakie ocaleni od niechybnej śmierci dzięki zasyłali ku niebu, opisywać nie potrzebujemy.

Klasztor odzyskał spokój; burze i nawałnice znowu go omijają, ciągną na morze i gromadzą się nad tem miejscem, gdzie dzwon w głębinie morskiej spoczywa: tam pioruny uderzają we wodę, tam grzmoty huczą aż do głębiny. A wir nad owem przeklętem miejscem — on pozostał i aż do dnia dzisiejszego piekielne swe zatacza koła w obwodzie trzech mil. Kogo ten prąd raz pochwyci, tego też coraz silniej porywa i zatacza aż do środka koła, gdzie okręt w szalonym pędzie się rozbija i tonie. Żaden okręt jeszcze nie uszedł cało, który wpadł w prąd tego wiru, żadne żyjące stworzenie jeszcze tu ztąd z życiem nie uszło. W niektórych zaś czasach, mianowicie w przeddzień Wielkiego Czwartku, straszliwe dzwonienie dochodzi z tajemniczej głębi tego wiru, — to jęk tego dzwonu, który odzywać się musi, a-

by człowieka przestrzegał przed największą zbrodnią, jaka istnieje: przed świętokradztwem i zdradzeniem Zbawiciela.

STRASZNE POLOWANIE.

Imię mi Robinson; nie jestem atoli Robinson Crosue, który lat kilkanaście przepędził na bezludnej wyspie, lecz Robinson Eremus. Przed trzydziestu laty z okładem, gdy mi dochodził czwarty krzyżyk, miałem wiernego przyjaciela, któremu również czterdziestka się zbliżała. Nazywano go Danielem, a był to Grenlandczyk duńskiego pochodzenia. Za młodu służył u misyonarzy i poznał na misyach różne indyjskie szczepy, jakie są w Ameryce; między niemi plemię Chippeway. Te wycieczki podały mu sposobność do wyuczenia się kilku narzeczy indyjskich; najlepiej zaś obeznał się z dyalektem*) plemienia Sioux.

Pewnego razu wybraliśmy się na bobry nad jezioro Lac-qui-parle**) co się na polskie wykłada jezioro mówiące. Nazwę tę nadali owemu jezioru myśliwi i turyści z Kanady dla tego, że ze skały, która się ze środka wód wychylała, wychodziło tak dziwne echo, iż zdawało się, jakoby jezioro mówiło.

W dwóch wielkich czołnach popłynęliśmy w górę rzeki św. Piotra, a zboczywszy następnie do jednego z jej dopływów, dotarliśmy do naszej łowieckiej kniei.

---

*) Narzeczem, językiem, mową.
**) Czytaj Lakiparl (jezioro, które mówi).

Zbudowawzy sobie chaty, urządziliśmy się tamże na dłuższy pobyt. Kilka miesięcy, któreśmy w pustkowiu przepędzili, zaliczyliśmy do najpiękniejszych chwil w naszem życiu. Polowanie udawało nam się znakomicie: prócz bobrów, któreśmy łowili w łapki, stało się łupem naszym mnóstwo wydr i lisów z tego gatunku, który się odznacza skórami wielkiej wartości. Do wydr i lisów trzeba było strzelać, a to była wcale piękna rozrywka. Tak wśród najpomyślniejszych wypraw łowieckich słodko nam upływał czas i codzień dzika ustroń jeziora Lac-qui-parle stawała się dla nas ponętniejszą i przyjemniejszą. Aliści nadszedł dzień, w którym nagle straszliwego doznaliśmy rozczarowania: nasz dobry humor obrócił się w smutek, zachwyt w przerażenie, wesołe okrzyki w jęki i łzy.

Jeden z naszych towarzyszy, wszedłszy pewnego pięknego poranku na wysokie wzgórze, aby się obejrzeć po okolicy, powrócił niebawem zadyszany, wołając już z daleka pełen przestrachu:

— Indyanie! Indyanie!

Jakoż nie upłynął nawet kwadrans, a na dróżce wiodącej do nas ukazała się zgraja dzikich czerwonoskórców, fantastycznie pomalowanych i z wyglądu okropnych. Było ich około dwustu, a należeli do plemienia Sioux. Spo-

strzegłszy nas, wydali piekielny okrzyk wojenny i bez wahania ruszyli ku nam zaczepnie. Na ich widok i pod wrażeniem szatańskich wrzasków, tysiącznem echem o dziwnie akustyczną skałę jeziora Lac-qui-parle się odbijających, staliśmy z początku jakby w osłupieniu, nie wiedząc na razie, co począć. Aliści grożące nam niebezpieczeństwo szybko wszystkim przywróciło przytomność umysłu. Było nas tylko dziesięciu i poznaliśmy od razu, że w obec tak ogromnej przewagi jesteśmy zgubieni, lecz postanowiliśmy walczyć do upadłego, aby nieprzyjaciel drogo okupił swe zwycięztwo.

Wśród Indyan wyróżniało się dwóch naczelników i dwóch starszych wiekiem kapłanów czy czarowników od reszty zgrai szczególniejszym ubiorem, składającym się z mnóstwa płatów i fatałaszków najrozmaitszego koloru i dziwacznie ze sobą zeszytych. Patrząc na tych ludzi, można było sądzić, że stanęło na ziemi czeterech wcielonych szatanów. Nasz Duńczyk twierdził, że kapłani indyjscy znają się także na ziołach lekarskich i nazwał z tego powodu dwóch powyżej wzmiankowanych kapłanów medycynerami. Oznaczeniem tem posługiwać się będę w dalszym toku powieści.

Medycynerzy przemówili do tłumu, aby mu dodać odwagi, poczem tenże pod wodzą swych

naczelników natarł na nas z całą wściekłością. Walka trwała aż do południa. Czerwonoskórcy, których pierwsze zapędy od frontu rozbiły się o męztwo nasze, usiłowali następnie przełamać nas podstępem, zachodząc nam w rozmaitych zwrotach to z boku, to z tyłu, lecz wszystkie te zabiegi i wysiłki dzikich naszych wrogów umieliśmy przez długi czas skutecznie odpierać. Lubo nas tylko dziesięciu było, jednak staliśmy mężnie w zwartym szeregu, ramię przy ramieniu, i celnemi strzałami położyliśmy trupem przeszło dwudziestu napastników. Aleć przyszło nareszcie do tego, cośmy z góry przewidzieli: padł po pewnym czasie jeden z naszych, przeszyty strzałą; następnie legł drugi ugodzony w głowę maczugą; z kolei ubył nam trzeci, czwarty, piąty, szósty, siódmy.... i zostało nas około południa już tylko trzech przy życiu: Daniel, Tom Twenty i ja. Pot ściekał nam z czoła strumieniem, ręce od pracy mdlały, nogi chwiały się pod nami, z wysilenia siły poczęły nas opuszczać widocznie, a oprócz tego nie mieliśmy już czem strzelać, gdyż zapas prochu i kul wyczerpał się nam zupełnie. Zebrawszy tedy resztę sił, rzuciliśmy się w sam środek nieprzyjaciół, chcąc poledz w boju, by uniknąć tym sposobem męczarni skalpowania nas żywcem, co w oczach naszych spotkało tych siedmiu, których strzały lub razy powaliły na ziemię.

W tym ostatnim już wysiłku chodziło nam także o to, aby każdy z nas jeszcze przynajmniej jednego napastnika na drugi świat wyprawił.

Lecz zamiary nasze spełzły na niczem. Nieprzyjaciele, ująwszy nas wszystkich trzech za pomocą swych lasso, związali nas bawolemi rzemieniami i zabrali do niewoli. Okrzyki tryumfu, które z tego powodu wznieśli, przejęły nas dreszczem i długo powtarzały je wielokrotnym odgłosem fale jeziora Lac-qui-parle.

Byliśmy w najfatalniejszem położeniu, jakiekolwik sobie wystawić można. Miał nas w swej mocy najokrutniejszy nieprzyjaciel pod słońcem. Każdy z nas wiedział, że go czeka śmierć straszliwa, i w obec tego zazdrościliśmy naszym towarzyszom, którzy w boju legli i już snem wiecznym ujęci na ziemi przed nami cicho leżeli. W uniesieniu począłem złorzeczyć wypadkom, które nam taki los zgotowały i dopiero rozsądne uwagi Daniela i Toma uspokoiły mnie nieco.

Cała nasza własność: broń, przybory myśliwskie, łupy łowieckie w wielkiej ilości i wszystko, co w chacie było złożone, wpadło w ręce rabusiów. Piękne skóry z lisów i wydr podobały się dzikim bardzo, największą jednak radość wywołał u nich widok sądka z arakiem, który znaleźli pod stósem skór.

Naczelnicy, medycynerzy i kilku przedniej-

szych wojowników zeszli się następnie na naradę i odbyli ją obyczajem swego plemienia w pewien uroczysty sposób.

My, leżąc powiązani tuż przy nich, słyszeliśmy dobrze rozprawy, a że Daniel język Indyan znał, przeto zrozumiał, co który z mówców powiedział i co uchwalono, i spostrzeżenia swe zaraz nam w tłumaczeniu udzielił. Chodziło o to, co z nami zrobić, czy zaraz na miejscu nas zabić, czy dopiero później gdzieindziej.

Niektórzy z czerwonoskórych uczestników narady żądali, aby nas bez zwłoki skalpować i wbić na pal, inni natomiast byli za tem, aby nas zabrać do siedzib plemienia Sioux, nad rzekę Missouri, i aby dopiero tam wpośród ludowych uroczystości bóztwu na ofiarę nas złożyć. Po dość długich sporach zwyciężyła propozycya tych, którzy męki nasze na później odłożyć chcieli. Oświadczyła się za tem większość głównie ze względu na to, aby także i ci, co w domu pozostali, widokiem tortur naszych rozkoszować się mogli, t. j. starcy i skwawy z papoosami czyli dziećmi.

Powstały także spory o podział zdobyczy. Broń, przybory łowieckie i drogocenne futra mniej wznieciły pożądliwości, natomiast sądek z arakiem stał się przedmiotem gorących rozpraw. Tłum, którego oczy chciwie ku temu specyałowi

się zwracały, nalegał, aby na miejscu walki wyprawić ucztę i gorącym napojem obdzielić wszystkich. Medycynerzy atoli, których plany były zupełnie odmienne, stanowczo przeciw temu wystąpili, a wpływ ich na pospólstwo był tak wielki, że ostatecznie opór przełamali. Odłożono tedy decyzyą co do podziału araku na później i sądek pozostał tymczasem nietknięty.

Domyślny Daniel przejrzał plan medycynerów.

— Widzę — rzecze do nas — że ludzie ci zmierzają ku temu, aby wszystek arak sami wypić mogli. Gdyby bowiem do podziału przyszło, toby na nich zbyt mała przypadła cząstka.

— Zanosi się więc na oszukaństwo, ale z tego pociechy nie doczekamy się żadnej, gdyż ani kropelki nam nie dadzą, odezwał się Tom Twenty pół żartobliwie, pół zgryźliwie. Trzeba nam było zawczasu trunek wypić, tobyśmy teraz nie potrzebowali się gniewać.

Przyznałem Tomowi słuszność. Lecz bylibyśmy inaczej sądzili, gdybyśmy byli wiedzieli, że właśnie ów sądek araku ma nam przynieść wybawienie.

Indyanie pochowali następnie na swój sposób ciała swych poległych, zwłoki zaś naszych nieszczęśliwych towarzyszy, które, jakeśmy powyżej nadmienili, uległy skalpowaniu, pozosta-

wili leżące pod gołem niebem, dzikim zwierzętom na pożarcie.

Nazajutrz ruszył cały tłum w dalszy pochód ku południowi. Zabrane nam rzeczy pokładziono na juczne konie, których było poddostatkiem, sądek zaś z arakiem wzięli medycynerzy pod swą wyłączną opiekę. Niemal każdy Indyanin miał konia. Odbywali przeto podróż konno, my natomiast jeńcy zniewoleni byliśmy iść pieszo ze skrępowanemi rękoma. Pod wieczór, gdy stanęli gdziekolwiekbądź dla wypoczynku, przywięzywano nam nogi bawolemi rzemieniami do słupków. Cośmy podczas tego okropnego pochodu wycierpieli, to nie da się słowami wypowiedzieć.

Po czterech dniach stanęliśmy na Redpipestone-Kreku, uświęconej ziemi Indyan, i szliśmy wąwozem między skałami, na których pełno było pieczar i schronisk. Tamże zaszedł nam drogę, jak się zdaje, za poprzedniem porozumieniem inny oddział dzikich i złączył się z naszym. Oddział ten liczył trzydziestu zbrojnych pod wodzą jednego tylko naczelnika, a towarzyszył mu także jeden tylko medycyner, który tak był podobny do znanych nam już dwóch kolegów swych, jak jedna kropla wody do drugiej. Wszyscy trzej znali się, jakeśmy zauważyli, wzajemnie bardzo dobrze i powitali się z dziwaczną powagą,

przyczem nie obyło się bez szczególniejszych podskoków i oryginalnych ukłonów, które nam wydały się błazeństwem, wedle ich zaś wyobrażeń stanowiły rodzaj wyższej galanteryi.

Oba hufce, złączywszy się z sobą, rozbiły w wąwozie obóz przed jedną z pieczar. Rozpalono ognie i zabrano się do przyrządzenia pieczeni z dwóch bawołów, które mniejszy oddział upolował. Księżyc był właśnie w pełni, a przy jego bladawem świetle robiły trzy postacie medycynerów wrażenie upiorów. Podpadło nam, że ludzie ci ustawicznie coś do siebie tajemniczo szeptali tak cicho, że Daniel, chociaż tuż przy nich leżał, ani słówka nie dosłyszał. Widocznie zależało im na tem wiele, aby nikt nie wiedział, o czem rozmawiali. Celu swego dopięli z łatwością, gdyż żaden Indyanin nie śmiał się do nich zbliżyć. Snać osoby ich i urząd kapłański, który sprawowali, w oczach barbarzyńskiego gminu były pewną świętością.

Gdy się bawoły upiekły, zdjęto mięso z ognia i cała rzesza zabrała się do niego z wilczym apetytem. Nam, którzyśmy leżeli na uboczu srodze rzemieniami skrępowani, rzucono kilka ogryzionych kości i wybierków. Stało się to nie z miłosierdzia, lecz z uwagi, żeśmy od kilku dni nic nie jedząc niemal z głodu umierali. Barbarzyńcy spostrzegli, że należy nasze siły koniecznie po-

krzepić, inaczej pomrzemy w drodze i unikniemy tym sposobem tortur, które nam gotowano.

Przyniesiono następnie sądek z arakiem i podczas gdy cała gromada, dzikie wydając okrzyki, okalać go zaczęła, przystąpił doń jeden z naczelników i jął wydobywać czop. Na ten widok dzikie wrzaski zamarły i nastała tak wielka cisza, iż można było słyszeć szelest przelatującego komara. Był to moment uroczysty. Czerwonoskórcy wlepili oczy w sądek. Spragniony jeleń nie wyczekuje z takiem utęsknieniem wody, jak oni pożądali ukrytego w sądku nektaru. Zdawaćby się mogło, że wyczekują ztamtąd zbawienia.

W tem rozległ się nagle ku ogólnemu zdziwieniu i przerażeniu ponury, tajemniczy głos z poblizkiej pieczary. Wiedziano, że w grocie żadnego człowieka nie było. Nie mógł to więc być głos ludzki, lecz był to, jak Indyanie w zabobonnym przestrachu mniemali, głos ducha.

Z rozmaitych słów, które ucho moje pochwyciło, zrozumiałem jedynie wyraz Manitu. Daniel natomiast pojął wszystko i rzekł do nas, uśmiechając się złośliwie:

— Przemawia do swych dzieci czerwonych pełen gniewu sam wielki duch Manitu.

— Chyba jakie wyrafinowane szalbierstwo w tem się kryje — odparł Tom Twenty, który zaczął się czegoś domyślać.

— Nie inaczej — odpowiedział Duńczyk — dzieją się tu piękne rzeczy!

— Cóż mówi wielki duch? — zapytałem.

— I ja jestem tego ciekawy — wtrącił Tom Twenty.

Wielki duch przemawiał tymczasem dalej, a Duńczyk wyłożył nam treść słów jego, objaśniając, że Manitu powiedział, jakoby srodze był zagniewany na czerwonoskórców za ich związki z białymi djabłami.

—Jeżeli chcecie zaskarbić sobie łaskę u mnie —rzekł w końcu Manitu — to żądam stanowczo, abyście powrócili do starych cnót waszych sławnych przodków, którzy wszyscy są teraz w mym raju.

— Rzeczywiście piękne rzeczy, nie ma co mówić — zauważył Tom.

Wielki duch przestał prawić, a dzicy jęli narzekać, biadać, jęczeć i po ziemi się tarzać, jako by złamani boleścią i żalem, że Manitu odwraca od nich swe oblicze. Te objawy skruchy trwały z dziesięć minut. Następnie medycynerzy nakazali spokojność i tak długo skakali po murawie jakby opętani, aż się wszystko uciszyło.

Najstarszy wiekiem medycyner odegrał rolę natchnionego proroka i jął dowodzić, że jedynie wielkiemi ofiarami gniew ducha przebłagać można i że złożenie tych ofiar jest nieodzowną ko-

niecznością. Naczelnicy przyznali mu słuszność. Za nimi poszła cała rzesza i niebawem ze wszystkich stron domagano się spiesznego złożenia ofiar. Lecz cóż miano na ten cel przeznaczyć? Oczywiście to, co uchodziło za najlepsze i największą przedstawiało wartość.

Po naradzie, którą medycynerzy ze sobą odbyli, oświadczył najstarszy z nich, że należy najprzód zdobyte na białych futra do pieczary zanieść. Może Manitu darami temi da się przebłagać.

— O te łotry! — rzekł po cichu Tom Twenty, gdy Duńczyk tłumaczenie swe skończył. — Widocznie szalbierze ci ziomkom swym futra chcą wydrzeć.

— Zdaje mi się — odparł Duńczyk—że tak nie jest. To zapewne tylko fortel, aby podejrzenia nie wzbudzić. Jestem przekonany, że co innego mają na oku....

Pomiędzy Indyanami zauważyć można było mocne wahanie się; nikt nie miał odwagi iść do jaskini. Lecz medycynerzy, trzymając w ręku zapalone łuczywo i mrucząc jakieś zaklęcia, śmiało postąpili naprzód. Krok ten oddziałał na gromadę dodatnio i niebawem około pięćdziesięciu silnych młodzieńców poniosło do jaskini drogocenne futra.

Po powrocie znów najstarszy z medycyne-

rów jął popisywać się z dziwacznemi swemi gestykulacyami i wśród tajemniczych słów zwrócił się powtórnie do wielkiego ducha z zapytaniem, czy na złożonych mu ofiarach poprzestaje.

Zaledwie kilka minut upłynęło, aliści z pustej pieczary ten sam tajemniczy głos dał się słyszeć. Manitu obwieścił, że gniew jego bynajmniej nie jest złagodzony.

Rzesza wydała nowe jęki boleści i żalu. Cały wąwóz zabrzmiał ich echem. Najstarszy szarlatanin wyskakiwał na murawie tak gwałtownie, i dziko, że zdawać się mogło, iż oszalał; tarzał się na ziemi i wrzeszczał tak przeraźliwie, że nawet sam Duńczyk, który między nami największym sceptycyzmem się odznaczał, uważnie na niego spoglądał, jakoby chciał się przekonać, czy rzeczywiście zmysły mu się pomięszały. Indyanie z przestrachem zaczęli się cofać, a medycyner z całej siły wołał, że należy zanieść do pieczary także jeńców i sądek z arakiem.

Żądanie to medycynera raziło nas gromem.

— Już po nas, jęczał Tom Twenty, teraz bez litości będziemy skalpowani.

Lecz na razie nie stało się nam nic złego. Kilku krzepkich wyrostków powlokło nas do jaskini i położyli obok stósów futer. Co się przed jaskinią działo, tegośmy nie widzieli, gdyż zewsząd ogarnęła nas wielka ciemność.

Czarownik odezwał się po raz trzeci do wielkiego ducha i zażądał od niego wyjaśnienia, czy z ofiar czerwonych swych dzieci jest zadowolony. Na to nie dał duch odpowiedzi żadnej i pozostawił swe dzieci w wątpliwości i niepokoju w tym względzie.

Teraz nakazali medycynerzy całej rzeszy, żeby się z daleka trzymała od uświęconogo miejsca. Oświadczyli zarazem, że trzy dni w jaskini albo tuż obok niej przepędzą na pokucie, aby tym sposobem łaskę wielkiego Manitu dla całego plemienia Sioux znowu zaskarbić.

Rozkaz został wykonany bez oporu; wszyscy Indyanie opuścili wąwóz i cofnęli się na wzgórza, by tamże obozować.

— Ujrzymy wkrótce nową komikę — zauważył Duńczyk po cichu.

— A jakże my w tej ciemnicy będziemy mogli co widzieć? — zapytałem.

— Zaradzą temu ci niegodziwcy sami, — odparł Duńczyk. — Jestem mocno przekonany, że o światło się postarają i następnie jako zwyczajni pijacy przed nami wystąpią. Całe stuku-puku, któreśmy widzieli, było komedyą, odegraną w tym celu, aby sami w trójkę zawarty w sądku nektar wypić mogli.

—A drugim nic się z owego nektaru nie dostanie?

— Ani nawet kropelka — rzecze Duńczyk tonem, z którego można było poznać, że wierzy mocno w to, co mówi.

— Wierzę — odpowiedziałem przytłumionym głosem, — ale z tem wszystkiem nie rozumiem owego tajemniczego głosu.

— Właśnie w tem tkwi treść oszukaństwa— objaśnił Duńczyk. — Gdym był na misyi w kraju Chippewayów, poznałem pewnego starego medycynera, który wszystkie zabiegi misyonarzy skutecznie umiał niweczyć za pomocą takichże samych tajemniczych rozhoworów, jakieśmy co dopiero słyszeli. Był to przebiegły brzuchomówca, umiejący głos swój zmieniać tak, że zabobonni czerwonoskórcy zawsze mniemali, iż do niego przemawia wielki Manitu. Tym sposobem udawało mu się panowanie nad dzikimi bardzo łatwo. Indyanie ślepo mu byli posłuszni, a nasi ojcowie misyjni byli wobec tego bezwładni. Takim brzuchomówcą jest bez wątpienia także i ten jegomość czerwony, który co dopiero w naszej przytomności ze swą sztuką się popisywał.

— A.... a.... a....! — rzekł Twenty — ciekawe historye. Nigdym jeszcze o brzuchomówcach nie słyszał. Ale jeżeli tak jest, to może nam to wyjdzie na dobre. Myślmy o tem, jakby z tego korzystać celem odzyskania wolności.

— Słusznie — odrzekł Duńczyk — myślmy teraz o wydostaniu się z paszczy tych tygrysów. To jest rzecz główna. Moje ręce są związane tak, że z łatwością niemi do ust sięgnąć mogę. Zęby mam ostre, więc zabieram się do przegryzienia rzemieni, które mnie krępują.

I zaraz zaczął gryźć bawolą skórę. Po kilku minutach więzy spadły, poczem Duńczyk, nie tracąc ani chwili, pospiesznie i nasze ręce z rzemieni uwolnił, lecz równocześnie napomniał nas, abyśmy spokojnie tymczasem na ziemi leżeli.

Leżąc tedy wszyscy trzej, z bijącem sercem oczekiwaliśmy tego, co dalej nastąpi.

Po dość długiem oczekiwaniu ukazali się nareszcie trzej medycynerzy w jaskini. Jeden z nich miał w ręku bardzo proste światło z wosku dzikich pszczół, przez środek którego przeciągnięty był wązki szmat, mający służyć za knot. Swiatło to było naturalnie nędzne i oświeciło mały tylko zakątek obszernej pieczary. Drugi z medycynerów niósł kilka kawałów mięsa i inne zapasy żywności. Trzeci przyskoczył do sądka i zręcznie wyjął z niego czop, który poprzednio już jeden z naczelników był wyciągał.

Napełniwszy następnie bezzwłocznie wydrążony róg bawoli upragnionym nektarem, łapczywie i z rozkoszą niezmierną wypił płyn gorący.

To samo uczynili dwaj jego koledzy i wkrótce humor wszystkich trzech opryszków ożywił się znacznie. Pod wpływem wzmagającego się rozmarzenia rozmawiali otwarcie o figlu, który ziomkom swym wypłatali i śmiali się przytem do rozpuku z łatwowierności ich.

Nasz Duńczyk, widząc to wesołe usposobienie, postanowił je wyzyskać i nie mówiąc do nas nic, odezwał się nagle do medycynerów ich językiem wykładając im, że ich plany przejrzał, lecz że ich przed Indyanami nie zdradzi, jeżeli nas wolnością obdarzą.

Lecz Duńczyk pomylił się w swych obliczeniach. Oświadczenie jego podziałało na barbarzyńców jak strumień zimnej wody. Niemile dotknięci, poczęli zamieniać między sobą szybko jakieś niewyraźne słówka, a z tajemniczości i w ogóle ze sposobu, w jaki się to działo, wnosiliśmy, że się święci coś niedobrego dla nas.

— Baczność — szepnąłem do obu mych towarzyszy. — Nie podlega wątpliwości, że się do nas zabiorą. Życie albo śmierć!

Szczęściem oprawcy nie wiedzieli o tem, żeśmy się z więzów uwolnili. Byli pewni, żeśmy jeszcze skrępowani i mieli nas za całkiem bezbronnych.

Przy bladem światełku licho palącego się wosku spostrzegliśmy migocące się z daleka

skalpele, które zbójcy pochwyciwszy, wprost ku nam postąpili. Widzieliśmy, że się taczają, i to nam dodało otuchy. Z przypartym oddechem czekaliśmy, aż się do nas zbliżą i każdy z nas pochwycił rzucającego się nań zbója w porę za gardło.

Nastąpiły straszliwe zapasy, ale walka trwała tylko dwie minuty. Po upływie tego krótkiego czasu rzecz była skończona: trzej napastnicy leżeli martwi u stóp naszych.

— Pomściliśmy naszych oskalpowanych towarzyszy — rzekłem.

— Prawda — odpowiedział Tom Twenty— aleśmy jeszcze nie ocaleni. Co teraz począć?

— Tak czy owak, trzeba spróbować, czy nam się nie uda przejść przez straże Indyan. Tu w jaskini na żaden sposób pozostać nie możemy.

— Będą nas ścigać. Sioux mają dobre konie i są dobrymi jeźdzcami. Dogonią nas, choćby nawet przez straże przemknąć się nam udało.

— Przychodzi nam w pomoc ta okoliczność, że medycynerzy zabronili Indyanom wstępu do pieczary przed upływem trzech dni i trzech nocy.

— Słusznie. Przebiegłość medycynerska wychodzi nam na dobre. Czerwonoskórcy, obawiając się zemsty swego Manitu, z pewnością rozkaz medycynerów będa szanowali, a tymczasem ujdziemy bardzo daleko.

— Ponieważ prawie zupełnie pozbawieni jesteśmy odzieży — rzekłem — przeto jestem za tem, abyśmy się ubrali w fantastyczne szaty poległych medycynerów i tak przebrani przez czaty przejść usiłowali — zauważyłem.

— Wyborna myśl — zawołał uradowany Duńczyk. — Przebranym łatwiej będzie przez czaty szczęśliwie się przedostać, gdyż w razie, gdyby nas spostrzegli, wezmą nas za medycynerów samych i pogoni zaniechają.

Postanowiliśmy nadto i skalpele ze sobą zabrać, gdyż była to jedyna broń, którąśmy pod ręką mieli.

W ubraniach medycynerskich wyglądaliśmy zapewne zabawnie. Każdy z nas zabrał ze sobą kawał suszonego mięsa, którego nasi oprawcy nie zdążyli zjeść, i ruszyliśmy z groty z ostróżnością jak największą.

W wąwozie nie było żywej duszy, ale za to na wzgórzach gorzały ognie, przy których obozowali dzicy. Jeden za drugim pełzał na stokach w górę cichuteńko jak wąż, a potem czołgaliśmy się przez wysokie trawy, które dziko zarastały niezmierne błonia.

Księżyc świecił w pełni i ta okoliczność utrudniała nam ucieczkę jeszcze bardziej. Lecz udało nam się przedostać niepostrzeżenie przez straże nieprzyjacielskie. Gdyśmy byli tak dale-

ko, że ognisk już nie było widać, wyprostowaliśmy się i biegliśmy na wyścigi tak długo, póki nam sił starczyło. Minęła noc, minął poranek, a my biegliśmy wciąż. Strach przed pogonią i męczeńską śmiercią, która nas czekała niechybnie, gdybyśmy powtórnie w ręce nieprzyjaciół wpadli, podwajał i krzepił siły nasze. Około południa byliśmy tak znużeni, że trzeba było koniecznie stanąć i wypocząć. Po kilku godzinach biegliśmy dalej.

Czwartego dnia stanęliśmy nad szeroką rzeką, pełną bystrych prądów. Było niebezpiecznie chcieć ją przepłynąć wpływ. Lecz szczęściem spostrzegliśmy przywiązaną w zaroślu nad brzegiem łódkę z rodzaju tych, jakich używają Indyanie i natychmiast wsiedliśmy w ten statek. Wtem wybiegło z gęstwiny dwóch indyjskich chłopców, o ileśmy mogli osądzić, należących do plemienia Sioux. Jeden z nich miał w ręku łuk i strzałę, drugi oszczep. Był dzień i z tego powodu poznali nas mimo naszego przebrania. Słyszeliśmy, jak nas wyzywali, mianując nas białymi złodziejami i opryszkami. Na te wybryki nikt atoli z nas nie zważał i skierowaliśmy statek na środek rzeki, chcąc się na drugi brzeg przeprawić.

Nagle strzała świsnęła w powietrzu i ugodziła naszego dzielnego Duńczyka w samo serce,

szeroką w piersi otworzywszy ranę. Krew potoczyła się strumieniem, a kochany Daniel upadł. Konając, zdołał wśród śmiertelnych dreszczy wymówić te tylko słowa:

— Żegnam was, przyjaciele; bądźcie zdrowi!

Tak najlepszy nasz przyjaciel, nasz wybawca, uszedłszy z rąk okrutnych wrogów, zginął z ręki dziecka. Co za fatalizm!

Zawrzeliśmy gniewem strasznym i chcieliśmy się cofnąć, aby obu wyrostków posiec w kawałki, lecz było niepodobieństwem statkiem kierować. Gwałtowny prąd wody uniósł nas i statek popędził z nami z szybkością strzały. Zwłoki biednego przyjaciela, obciążone kamieniami, spuściliśmy w rzekę i niedługo potem wysiedliśmy na drugim brzegu szczęśliwie na ląd, a stało się to bez żadnych z naszej strony wysileń, gdyż statek, niesiony zmienionym prądem, sam do brzegu przybił. Szliśmy następnie dalej ku wschodowi. W krótce zabrakło nam żywności i bylibyśmy z głodu pomarli, gdybyśmy byli nie znaleźli dogorywającego bawołu, którego już sępy zaczęły okrążać. Bawół był ciężko postrzelony. Mięsem jego, któregośmy sobie wzięli spory zapas, żywiliśmy się przez trzy tygodnie, aż nareszcie po straszliwych trudach dotarliśmy przy pomocy Bożej do fortu Snelling, gdzieśmy znaleźli pożądany przytułek. *J. K.*

SOŁTYSIANKA.

Nie było na cztery mile do koła człowieka, któryby cudów nie rozpowiadał o fortunie i bogactwie sołtysa, Błażeja Sołody. Był to bowiem sobie kmieć bogaty, co się zowie, a drugiego takiego nie znaleźć! Toć bywało, kiedy człowiek za jakim interesem przejeżdża przez Wrotnowice i zapyta:

— A czyja to ta wielka i piękna chata?

To ludzie zaraz odpowiedzą:

— A jużciż że Sołody!

— A ta pasieka hen w sadzie?

— Sołtysa Sołody!

— A to bydło piękne i spasione jak gałki?

— Sołody!

— A to długie pole z tem pięknem zbożem?

— Sołody!

I to Sołody i owo Sołody, co najpiękniejszego i najwartowniejszego we wsi całej, to wszystko sołtysa Sołody! U Sołody huk pola, ziarna pszenicznego wory, karbowańców w kalecie jak maku!....

Alećklnę się, że to jeszcze nie wszystko było. Wszystko to bogactwo, to nic naprzeciw córki sołtysa, czarnookiej Hali! Oj śliczneż to, śliczne było dziewczę. Oczki jak tarki, liczko

jak róża, usta jak korale, gdyby śnieg ząbki białe!.... Swiat przewędrować, a dzieweczki takiej drugiej nie odszukać między ludźmi.

Wiedzieli o tem parobcy z Wrotnowic, bo każdy przepadał i w żywy ogień by skoczył za Halą; wiedział sołtys, bo kochał dziewoję i pieścił jak cacko; wiedziała i Hala sama, bo już nawet na chłopców patrzeć nie chciała!....

Oj gdybyż była nie popatrzyła na żadnego, tylko pozostała wierną Grzesiowi, póki życia lichaby nie była znała!

— A któż był ten Grześ?... — zapytacie mnie ludzie. Posłuchajcie jeno cierpliwie, o wszystkiem wam opowiem; ciekawa to historya, choć smutna i nie długa...

Jakom wam już powiedział, był sołtys Błażej Sołoda kmieć bogaty bardzo i nie zabrakło tam u niego w chacie niczego, co należy do dobrego życia i szczęścia. Przy tem zaś wszystkiem był Sołoda człekiem uczciwym i zacnym, co własną pracą dorobił się dobytku, a nigdy w całem swem życiu nie uganiał się krzywemi drogami za zyskiem lub krzywdą ludzką.

To też błogosławił mu Pan Bóg, a swoboda i byt dobry nie wychodziły nigdy z chaty. Sołoda miał żonę zacną, dobrą i pracowitą, że każdyby takiej gospodyni mógł pozazdrościć tylko.

Pod opieką starej Sołodowej wzrosła i Hala, dziewucha piękna i urodziwa.

Rodzice kochali Halkę i co tylko dziewczę zachciało, to zaraz ojciec i matka kłopotali sobie głowę, aby jej na tem nie zabrakło. Bo też była jedynaczka, a Sołodowie niczego tak nie pragnęli jak szczęścia swojej dziewuchy. Więc też i korale i pierścienie i kwieciste spódniczki i sukmanki strojne — wszystkiego tego miała huk córka sołtysowa.

Ale czego jej rodzice dać nie mogli, tem ją Pan Bóg obdarzył. Młoda Sołtysianka była, jak już powiedziano, hoża jak łania, zgrabna i wiotka jak kalina!... A przy tem wszystkiem było to dziewczę dobre i serce miało poczciwe, jak Pan Bóg przykazał, jeno że matka i ojciec rozpieścili ją po trosze.

Był zaś we wsi parobczak poczciwy i pracowity, chłopiec porządny i tęgi, a dobry przy tem, że jeno do rany go przyłożyć. Zwał się Grześ Staniek. Cała gromada kochała tego Grzesia, jak syna, bo wszystkim był życzliwy, wszystkim pomógł, wszystkim służył.

Matka Grzesia, stara Marta, była uboga wdowa; bo jej po mężu została tylko szmatka gruntu i chałupina od biedy — ale Grześ stanął jej za cały majątek, bo chłopak pracował za dziesięciu i starą matkę żywił i pielęgnował.

Otóż ten Grześ pokochał nad życie Halkę Sołtysiankę, a serce Halki skłaniało się do niego także, i w całej gromadzie mowa była o tem, że z Grzesia i Halki będzie kiedyś piękna i dorodna para. Stary sołtys Sołoda nie sprzeciwiał się temu; bo choć był najbogatszym we wsi kmieciem, nie pogardzał ubogiemi, a Grześ, że był dobry i pracowity, przypadł mu od razu do serca.

Było to z końcem lata w niedzielę. Grześ wychodząc z kościoła, spotkał się z Halką i odprowadził ją do domu. Po drodze poczęli mówić z sobą, jak to bywa między młodymi, o swem kochaniu—a Grześ chwycił za rękę Halkę, uścisnął ją z serca i zapytał:

— Halu! życie ty moje! czy kochasz mnie dziewucho?... Hala poczerwieniła się od wstydu jak róża, pochyliła główkę na dół, i szepnęła z cicha:

— Kocham Grzesiu, kocham bardzo!

Grzesiowi aż oczy się zaiskrzyły od szczęścia, i tuląc do siebie Sołtysiankę, pytał dalej:

— Halu, a czy pójdziesz ty za mnie?...

Halka jeszcze się bardziej zawstydziła, wyrwała się z rąk Grzesiowi i rzekła:

— Jak rodzice pozwolą, to pójdę... i pobiegła naprzód do domu, a Grześ patrzał długo za

nią, i tak mu miło było na sercu, jakby mu Pan Bóg nieba przychylił.

Zaraz tej samej niedzieli po południu wysłał Grześ swaty do sołtysa Sołody, a Sołoda mile ich przyjął i odpowiedział:

— Wiedział ja ci oddawna, że się Grześ z moją Halką kochają i wcale mi to nie markotno. Bo choć Halka moja jedynaczka i wszystko co mam do niej należy, to Grześ także nie ubogi, bo ma więcej niż największe majątki, dobre serce, zdrowe ręce i chęć do pracy. Niech się więc pobiorą i niech żyją w łasce Bożej!...

Nie potrzebuję wam opowiadać, jak się Grześ ucieszył na tę odpowiedź; prawie nic mówić nie mógł od wielkiej radości. Halka była także mocno uradowana, bo kochała Grzesia bardzo, i tak oboje oczekiwali z upragnieniem wesela, które się miało odbyć jesienią.

— Ale napisane jest w księgach świętych: „Szatan nie śpi, ale czyha, jak lew kogoby pożarł!...“ Tak i w tym wypadku nie długo było tego szczęścia dla Grzesia i Halki, bo na kilka tygodni przed samem weselem zaszedł taki wypadek:

W tej samej wsi, gdzie mieszkał sołtys Sołoda, był stary kowal, który przed kilkunasty laty zawędrował był do wsi. Kowal był majstrem dobrym, nie ma co mówić, ale jakim on tam był

człowiekiem, tego już nie wiem, choć tam strasznie coś źle mówili o nim ludzie.

Otóż do tego kowala przyjechał naraz jakiś daleki jego krewniak, co służył dawniej wojskowo. Był to młody, gładki chłopak, ale hultaj. Zwali go z niemiecka Franc.

Wszyscy chłopcy mieli to sobie za honor, jeżeli Franc z nimi poszedł na kieliszek wódki, choć sam nigdy nie płacił, a pił jak gąbka — a dziewuchy wiejskie napatrzyć się na Franca nie mogły. Franc ubierał się w niedzielę i święta w jakiś krótki kabacik i kraciastą kamizelczynę; na głowę wdziewał czapeczkę żółtawą, a na kamizelce przewieszał stalowy, błyszczący łańcuch od zegarka, i chodził z wielką pychą po wsi jak bocian, myśląc, że Bóg wie, co on za wielki pan.

Tak wałęsał się ten Franc przez kilka dni po wsi, aż zobaczył piękną sołtysiankę, Halkę. Podobała mu się bardzo ta dziewucha: a że się dowiedział, że stary Sołoda ma wielki dobytek, począł zaraz mizdrzyć się i palić cholewki do Halki. A Halka niewierna, choć ślubowała Grzesiowi, że pójdzie za niego, dała się obałamucić przez tego przybłędę, że już o Grzesiu i zapominać poczęła. Podobało się jej to bardzo, że Franc wygląda z pańska, i powoli tak sobie dziewczę zawróciło głowę, że dla Franca przestała kochać poczciwego Grzesia.

Nie wiedział o tem stary Sołoda, bo się Franc i Halka kryli przed nim z bojaźni; biedny Grześ także o tem nie wiedział, bo Halka udawała przed nim także, że go kocha. Ale raz wrócił Grześ z miasta i przyniósł Halce prześliczną wstążkę barwistą. Zobaczył ją właśnie na podwórzu przed chatą i przybiegł do niej, a ściskając z serca jej rękę prosił, aby wstążkę od niego przyjęła.

Ale Halka jakoś krzywo popatrzyła na Grzesia i wstążkę odsunęła od siebie. Grześ spojrzał na nią z zdziwieniem, a tu patrzy, na palcu Halki świeci jakiś przecudny pierścień.

— Halku!—zawołał Grześ—Halku! co to za pierścień!?

Halka zaczerwiniła się po uszy i schowała rękę.

— Kto ci go dał? powiedz! — wołał Grześ, i serce go okrutnie zabolało; bo mu przyszło nagle na myśl, że Halka mu jest niewierną.

Ale Halka zamiast odpowiedzieć łagodnie Grzesiowi, rozgniewała się nagle i zawołała:

— Franc mi dał pierścień, bo mnie Franc kocha i ja go kocham; rzekłszy to uciekła od Grzesia.

Grześ stał przez chwilkę, jak skamieniały. Oddech mu się zaparł w piersiach, i zdawało mu się, że mu serce pęknie z bólu, że rozum w głowie mu się zamiesza!.... A potem łzy potoczyły

mu się z oczu, i blady jak trup poszedł powoli do swej chaty...

II.

Gdy przyszedł Grześ do domu, począł gorzko płakać... On kochał Halkę nad swe życie, kochał ją pierwszą po swej matce starej! Dla Halki byłby poświęcił wszystko co miał, byłby życie wydał za nią, a ona mu odpłaciła taką szka radną zdradą!... Zamiast pracowitego, poczciwego parobczaka wolała jakiegoś niecnotę. A dla czego? Oto że Franc nosił surdut z pańska po mieszczańsku, że umiał w tańcu wyłamywać nogi po cudacku, i dał jej na podarunek złote pierścienie! Oj źle to, źle, jeśli dziewczęta patrzą na takie marności!!... Prędzej lub później spotka je takie nieszczęście, jak Halkę sołtysiankę.

Ale wróćmy do Grzesia. Kiedy stara matka zobaczyła syna w takim srogim smutku, poczęła go z płaczem wypytywać, co mu takiego. Grześ opowiedział wszystko matce, a ona mu na to:

— Przestań się smucić synu! Halka niewarta ciebie, niech sobie trzyma tego włóczęgę, kiedy go woli, niż ciebie. Jest we wsi więcej dziewcząt hożych; każda pójdzie za ciebie, i będzie lepsza niż Halka niewierna!

Ale Grześ nie dał się uspokoić, bo mu serce pękało z boleści. Kilka dni przetęsknił w chacie, potem spakował swój przyodziewek, najął dla matki do pomocy poczciwego parobka, i rzekł do matki.

— Nie wytrzymam ja tu od wielkiej boleści. Ile bym razy spojrzał na Halkę, serce by mi się skrwawiło. Pójdę w świat, może trochę zapomnę, a potem wrócę do was, droga matko!

I wziąwszy tłomoczek, pożegnał się z starą matką, i poszedł w świat...

Tymczasem już we wsi o niczem nie mówią, jeno o Francu i o Halce, o złotych pierścieniach i o drogich koralikach, co jej Franc darował i o biednym Grzesiu co w świat powędrował.

W końcu dowiedział się o tem i sołtys Sołoda, który przedtem ani się domyślał, że Halka ma konszachty z Francem. Okropnie się zgryzł stary, bo wiedział, że to zły człowiek ten Franc, a Grzesia żal mu było jak syna. Biedny Sołoda nie spodziewał się nigdy, aby jego jedynaczka Halka na taką złą drogę zeszła, a z rozżalenia i zgryzoty stary pożółkł i zgarbił się, jakby mu 10 lat przybyło.

Było to właśnie rano w niedzielę; stary zwlókł się z łóżka, ubrał się i przywołał Halkę. Gdy Halka przyszła popatrzył, jej Sołoda w oczy

surowo, aż pobladła dziewczyna, widząc gniew i zgryzotę w oczach swego ojca.

—Halko—rzekł do niej stary—Halko! takiej się po tobie pociechy doczekałem!...

Halkę jakby krew oblała, tak się zarumieniła, a potem znowu blada stanęła jak chusta

Stary uchwycił ją za rękę, popatrzył jej znów w oczy i zawołał:

— Halko! niedobra dziewczyno! powiedz mi zaraz, czy prawda to, co ludzie o tobie mówią? Ty się wdajesz z Francem, tyś porzuciła Grzesia? Gdzie masz te kolczyki, te korale drogie, co ci dał Franc? Powiedz, powiedz mi zaraz! i trząsł ręką Halki stary Sołoda, a z oczu łzy mu się puściły po zmarszczonej twarzy.

Halka zachwiała się na nogach, twarz jej blada była jak u trupa. Nie mogła się wypierać, milczała tylko. Sołoda poszedł do alkierza i pociągnął za sobą Halkę. Tu roztworzył kuferek, gdzie Halka trzymała swoją odzież, a tam leżały złote pierścionki, łańcuszki i korale!

Wtem dał się słyszeć jakiś hałas na podwórzu, a za chwilę wpadli jacyś ludzie do izby Sołody. Byli to żandarmi. Między nimi był Franc, skuty kajdanami. Halka, gdy go ujrzała, krzyknęła strasznie i padła na ziemię, jak nieżywa.

Sołoda chciał ratować córkę, gdy w tem przystąpił żandarm i mówił:

— We dworze ukradł ktoś złote obrączki i łańcuszki, i wykazało się, że zbrodni tej dopuścił się oto ten człowiek, zwany we wsi Franc. Mówi on, że wy sołtysie i wasza córka pomagaliście mu w kradzieży! Chodźcie z nami. Mam rozkaz was i waszą córkę dostawić do sądu!

Gdyby był piorun uderzył z jasnego nieba w siwą głowę starego sołtysa Sołody — byłby go może nie zabił tak nagle, jak te słowa. Stary Sołoda był kmieciem szanowanym, zamożnym; nigdy jeszcze ręka jego nie skalała się krzywdą cudzą, a na starość miał iść do sądu, jak złodziej prosty. Zatrząsł się cały, posiniał i upadł na ziemię bez duszy. Gdy go chciano ratować, już było za późno. Stary Sołoda skonał!

Żandarmi zobaczyli skradzione złoto, i wziąwszy je z sobą, poprowadzili Halkę, która tymczasem przyszła do siebie, razem z okutym Francem do miasta.

III.

Halka przez całą drogę do miasta ani ust nie otworzyła; niema i blada siedziała na wozie koło okutego Franca. Snać nieszczęśliwa dziewczyna nie mogła pojąć co się stało, i nieprzytomnie spoglądała to na żandarmów, to na Franca.

Tak przyjechali do miasta, gdzie ich zaraz oddano do sądu. W sądzie rozpoczęto sprawę,

i oto wykazało się, że Franc sam skradł ze dworu złote pierścienie, a ani stary Sołoda, ani Halka nie byli winni. Franc rozpatrzył się dobrze we dworze, gdzie znał jednego lokaja, i w nocy, zakradłszy się do pokoju, porabował te drogie pierścienie i łańcuszki. Trochę z tego dał Halce, a nieroztropna dziewczyna przyjęła je, bo nie wiedziała, zkąd pochodzą.

Franc zwalił połowę winy na starego Sołodę i jego córkę — bo myślał ten zbrodzień, że przez to sobie pomoże... Ale wykręt jego nie udał się — Franc poszedł do kryminału.

Gdy się niewinność Halki okazała, puszczono ją do domu.

Halka powróciła do wsi zbiedzona—ale już nie miała do kogo powrócić... Ojca jej tymczasem pochowano... Z boleści i wstydu Halka od rozumu odchodziła... Siadła sobie na progu chaty, i tam jak martwa, całą noc przesiedziała.... Nad ranem wzięły ją do siebie sąsiadki.

Oj srogo była pokaraną Halka za swoją swawolę! Nie tylko, że ojca o śmierć przyprawiła, że ją jak złodziejkę do sądu włóczono, ale do tego jeszcze widziała własną swą hańbę i sromotę.

Jak cień błąkała się Halka to po pustej chacie, to po sąsiadkach, ale coraz bardziej schła i marniała. Aż serce bolało, na tę biedną dzie-

wczynę patrzeć... Tak minął miesiąc cały, a Halka przez cały ten czas prawie nie spała, ani jadła, ani też słowa do kogo przemówiła. Chyba gdy była sama, to plątały się jej po języku rozmaite dziwaczne słowa, a często wymawiała imię Franca i Grzesia.

Aż nareszcie zginęła naraz bez śladu.... Szukano jej wszędzie, ale daremnie; za tydzień dopiero znalazł jeden rybak ciało jej w wodzie. Snać się utopiła z wstydu i żałości.

IV.

Właśnie, kiedy chowano Halkę, wrócił nagle Grześ do wsi. Nie mógł długo wytrzymać między obcymi ludźmi serce go zabolało za matką i mówił sobie:

— Cóż ci winna twoja matka, żeś ją opuścił w starości?... Czyż za Halkę ma cierpieć biedna staruszka? Ciężkom przewinił, że z żalu po niewiernej dziewczynie porzuciłem matkę, która mnie tak kocha, i pewnie gorzko za mną płacze. I wrócił do wsi. Był w samym środku wsi, gdy ujrzał pogrzeb Halki. Nie wiedział, kogo to niosą na wieczne odpoczywanie; bo mu nikt nie opowiedział o tem, co zaszło od tego czasu w chacie Sołody. Zdjął kapelusz i czekał aż pogrzeb go minie, mówiąc nabożnie: „Wieczne odpoczywanie...“

Gdy go zobaczyli ludzie, co szli za pogrzebem, poczęli szeptać:

— Grześ! Grześ wrócił!!...

Grześ zbliżył się do jednej z kobiet, co szły za trumną i zapytał:

— Powiedzcież mi proszę, kogo Pan Bóg powołał z tej ziemi?

— A wy o niczem nie wiecie, Grzesiu — odpowiedziała kobieta — toć to Halka się utopiła!

Naraz ktoś chwycił Grzesia za rękę i zawołał go po imiemiu... Grześ się odwrócił — była to stara matka jego... Powitała go z radością i płaczem, i zaprowadziła jak dziecko do chaty. Tu mu opowiedziała wszystko.... Grześ nic nie mówił, jeno drżał jakby go febra trzęsła. Na drugi dzień rozchorował się śmiertelnie... Leżał miesiąc cały...

V.

Kilka lat minęło... Kilka lat to nie dni kilka. Przez ten czas niejedna łza wyschnie, nie jedna żałość człeka opuści, o niejednem nieszczęściu ludzie zapomną.. Grześ wprawdzie nie zapomniał o Halce, ale przestał już płakać za niewierną dziewczyną. Na prośbę starej matki postanowił się ożenić.

Wybrał sobie Anusię, córkę zagrodnika Ma-

cieja, dobrą i pracowitą dziewczynę która go całą duszą pokochała.

Grób nieszczęśliwej Halki już po raz piąty okrył się zieloną murawą, kiedy Grześ obchodził swe wesele. Dziewczęta zaśpiewały na godach krakowiaka o Wandzie.

Grześ przypomniał sobie Franca i Halkę i łza mu się zakręciła w oku. Ale przy dobrej żonie i starej matuli zapomniał Grześ do reszty o swojem dawnem kochaniu i o Halce, co mu wiarę złamała, i za marności swego wianka się wyrzekła.

Został najporządniejszym gospodarzem we wsi; w pracy i zacności pędził życie. Kiedy dwa lata temu jechałem w niedzielę przez Wrotnowicę, wypadła mi droga pod cmentarz, i zobaczyłem jakiegoś gospodarza z żoną i dziećmi.... Był to Grześ ze swoimi. Modlił on się na grobie matki, która już także umarła, a potem poszedł z swoją rodziną na grób starego Sołody i Halki, i tam modlili się także za ich dusze.

Franc odsiedział długi czas w kryminale, a potem gdzieś znikł w szerokim świecie. Stary Jacenty, co zeszłego roku był na Zebrzydowskiej Kalwaryi, opowiadał, że go widział między proszalnymi żebrakami. Tak to Bóg pokarał złego człowieka, co tyla nieszczęścia narobił i biedną Halkę zgubił.

Ja zaś spisałem tę całą smutną historyę na naukę dla naszych dziewuch wiejskich, aby chowały cnotę w sercu, i strzegły się przed takimi hultajami jak Franc. Niech żyją we wstydzie dziewiczym i bogobojności, bo za nic uroda i majątek, gdzie nie ma cnoty.

SERCOWE KŁOPOTY STACHA.

POWIASTKA.

Bardzo wątpimy, czy który z Czytelników znał Stacha, więc prosimy posłuchać.

Był to chłopak biedny, ale zgrabny i rosły jak dąb, a i minę miał dziarską i humor zawsze wesoły. Ojciec i matka odumarli mu, nie miał też ani brata, ani siostry, był więc samotny i opuszczony na świecie zupełnie tak, jak Halka z młyna, która była znajdkiem i przyjętą została w domu i wychowaną przez matkę Stacha, a potem, gdy matkę Stacha pochowali, poszła w służbę do młyna.

Halka była śliczniuchną dziewuchą; cera jej twarzy to krew i mleko, otoczone czarnemi splotami włosów, z czarnych ócz jej tryskały płomienie, a buzię miała czerwoną jak wiśnię.

Ale Halka doznała starannego wychowania; była cnotliwą i pobożną, łagodną jak gołąbek, pracowitą jak mrówka, a państwu swemu tak wierną, że szukać było podobnej na świecie. Obok tego jednakże była też i Stachowi oddaną duszą i ciałem i kochała go jak brata, a — może i cokolwiek więcej.

Dopóki żyli rodzice Stacha, był on i Halka nierozłącznymi towarzyszami, tak przy pracy jak

i zabawie, przy jedzeniu i przy pacierzu, w kościele i w domu.

Później wszystko się zmieniło — to jest, gdy Halka do młyna musiała iść w służbę. Od tego czasu Halka mało już miała wolnego czasu i tylko w niedzielę przed kościołem mogli ze sobą pogawędzić, albo też kiedy po nieszporach poszli na cmentarz, aby się pomodlić na grobie Stacha rodziców.

— No, Helu, jak ci się powodzi? — zapytał zawsze Stach, a Halka odpowiadała:

— Musi być dobrze! Trza się zgadzać z wolą Bożą!

Ale że młynarz, pan jej, okrutnie był surowy, a nieraz nawet był i grubijaninem i rurą, że młynarzowa była obyta i skąpa, i tak sługi obdzielała, że biedna Halka zawsze prawie była głodna, o tem nigdy nie wspomniała; bo nasamprzód nie chciała swego państwa obmawiać, a potem też nie chciała Stachowi serca zakrwawiać, gdyby się dowiedział o niedoli swej biednej siostrzyczki, którą rodzice jego tak tkliwie kochali.

Co się tyczy Stacha, to ten, choćby był chciał, skarżyć się nie mógł. Dziś był tu—jutro ówdzie w robocie, ale zawsze tylko u gospodarzy, którzy dobrze płacili i nie skąpili strawy, a przytem ze służbą obchodzili się jak należy. A

ponieważ był i pracowity i grzeczny, więc bogaci gospodarze, a nawet i panowie okoliczni prawie się darli o niego; i gospodynie lubiły bardzo tego szykownego i wesołego parobczaka i zawsze mu najlepsze kąski podtykały, a Stach chwalił jadło, chwalił gospodynię i zajadał, aż mu się uszy trzęsły.

No, głupi Stach nie był, to już prawda.

Stach odziedziczył po rodzicach małą chatkę, która stała za wsią, tuż pod borem. Tego dziedzictwa nie byłby Stach sprzedał za żadne tysiące — chociaż co prawda, djabelnie mało by za nie dostał — bo rolę, która do chaty należała, możnaby było dobrą płachtą przykryć, a ogródek przed domem, w którym kwitło kilka fiołków, rozmaryn, gwoździki i szałwia, nie wiele był większy od lichego obrusa. Ale Stach szanował tę chatę, bo w niej dziad jego się urodził, ojciec i on sam, w niej pomarli dziadowie i rodzice, w niej wreszcie wychowała się Halusia, więc mu chatka była droższą, jak pałac królewski.

Tęskno jednakże mu było, i to okrutnie tęskno, gdy naraz tak był osamotniony w swej chacie. To też gdy wracał z roboty do domu, zawsze tylko siadywał w kuchence, albo też na ławeczcze przed domem, i zapaliwszy fajeczkę wspominał na matkę, jakto dawnemi czasy go-

spodarzyła dla ojca i dzieci, jak ich witała, gdy z ojcem powracali z boru od roboty, a wtenczas zawsze z kuchni tak miłe dolatywały go zapachy, klusek z kapustą, albo jagieł ze skwierami, albo też nawet kiełbasy—takie myśli Stach zawsze przypieczętowywał głębokiem westchnieniem, wytrząsał fajkę i czemprędzej kładł się do łóżka, aby przespąć swą tęsknotę i smutek.

Niejeden może zapyta: a czemu Stach nie pomyślał o ożenku?

Ha! Toć to on myślał nieraz, ale nigdy jakoś ze swemi myślami nie mógł trafić do ładu, gdy wszystko dokumentnie rozważył.

Nasamprzód do ożenku potrzeba pieniędzy, a tych on niemiał. Powtóre potrzeba do ożenku dziewczyny, którаby nietylko się podobała, ale którąby też człek przez całe życie musiał szanować i kochać.

A w tem właśnie był sęk.

Toć — co prawda — podobały się jemu wszystkie które były ładne; strasznej za nic w świecie nie byłby wybrał, chociażby ta po same uszy w twardych talarach siedziała. Największa trudność w tem była, że nie umiał powiedzieć, któraby się jemu najbardziej podobała z tych wszystkich dziewuch, które temu zgrabnemu chłopakowi z czarnym wąsikiem w bystre zaglądały oko, a nawet nieraz skrycie do niego się u-

śmiechnęły: czy Marysia, czy figlarna Zosia, czy jasnowłosa Hanusia, czy też czarna Kasia, albo Jagusia ze swemi grubemi rudemi warkoczami, które się w słońcu świeciły, jak szczere złoto, albo też wreszcie Basia, co wzrostem nie wiele się różniła od niego, a gdy przez wieś stąpała, to aż się wszystkie chałupy chwiały.

Gdy Stach tak medytował, to zawsze był w takiem położeniu, jak ów osieł pomiędzy dwoma snopkami siana, z tą tylko różnicą, że on cały mendel widział naokoło siebie.

O jednej tylko dziewce nigdy Stach nie myślał, chociaż ta w jego oczach większą miała wartość, jak wszystkie dziewuchy z całej wsi razem, a tą była Halka. Gdyby kto był powiedział, aby sobie Halkę wziął za żonę, toby się jemu w twarz był roześmiał; boć przecież Halka była jego siostrą, chociaż nie rodzoną, to prawda, ale zawsze ją za siostrę swoją uważał.

Razu pewnego po zachodzie słońca siedział sobie Stach znowu na ławie przed domem a wypalona fajeczka leżała obok niego. I znowu nie miał ochoty wejść do pustej izby, chociaż wiatr jesienny ostro pogwizdywał i zżółkłemi liśćmi ze starego orzecha przed domem suto mu głowę posypywał.

— No, Stachu, porządną musisz mieć gorączkę, kiedy się na tem ziemnisku chłodzisz!—

odezwał się głos, podobny nieco do beczenia kozy, a przed nim stanęła stara babulinka z pękiem chrustu na plecach.

Była to stara Małgorzata, która wyszła z boru, gdzie sobie nazbierała suchych gałęzi.

We wsi miano ją za czarownicę, dla tego, że leczyła chore bydło, umiała radzić ludziom na rozmaite choroby, a i kobietom raz po raz karty kładła i wróżyła im, gdy się koniecznie tego domagały.

Ale Małgorzata nie była czarownicą, tylko biedną kobietą, która ciężko pracować musiała, aby mieć tyle, iżby nie umarła z głodu.

Matka Stacha niejedno jej dawniej wyświadczyła dobrodziejstwo, dla tego też więc i ponieważ stara Małgorzata pomimo swego wieku — a miała już blisko ośmdziesiąt lat — bardzo dobrą miała pamięć, była dla Stacha zawsze dobrą i nieraz mu pracowała w ogródku, gdy on po za domem pracował.

Szczere „Bóg zapłać“ Stacha zupełnie jej wystarczało za nagrodę; ale z drugiej strony i Stach nie był sknerą i niejednego półzłotka wolał jej wcisnąć do ręki, jak przepić w gościńcu.

— Za gorąco, co prawda, mi nie jest, Małgorzato, — odpowiedział Stach i potrząsł głową, — ale okrutnie mi tęskno na sercu, a gdy wcho-

dzę do chałupy, to taka pusta, jak grób Pański po rezurekcyi!

— Wierzę ci, Stachu, wierzę, że tęsknisz za dobrymi rodzicami; takie osamotnienie w życiu ściska serce. Aleś ty przecież jeszcze młody i dopiero żyć zaczynasz. Więc nie powinieneś opuszczać głowy; łatwo ci będzie dostać szykowną kobietkę, później może jeszcze jakie maleństwo; a w chacie twojej będzie się tobie znowu tak podobało jak dawniej.

Stach spojrzał na nią uważnie; pomyślał przez chwilę i rzekł:

— Jabym was chciał o coś prosić, Małgorzato!

— No, i cóż takiego? — zapytała stara, — czy ci może mam wybrać kartofle z twego małego ogrodu, albo drzewa przynieść z boru?

— Nie, — odpowiedział Stach i zarumieniony spuścił oczy, — jabym chciał, abyście mi z kart wróżyli!

Małgorzata spojrzała na niego zadziwiona, pokiwała głową, która się jej zawsze trzęsła i mruknęła:

— I nie wstydzisz się ty? Ty chłopie?

— Ach, co tam! — zawołał Stach hardo.— Jeżeli baby w to wierzą, to mnie też nie zaszkodzi!

— I czego byś się chciał z kart dowiedzieć? — zapytała znowu stara.

— No, jabym chciał wiedzieć, czy i z którą się mam ożenić, skoroć mnie już jedna przeznaczona! — odpowiedział Stach.

— Jaki też z ciebie dudek, Stachu! — zaśmiała się stara na całe gardło, — toćże zapytaj się swojego serca, a to ci najlepszą da odpowiedź.

— Właśnie że nie, moja Malgorzato! — odrzekł Stach, — bo widzicie, moje serce tak jest wielkie, żeby się w niem wszystkie dziewuchy z całej wsi pomieściły. Aby się one zaś między sobą nie poczubiły, więc chciałbym tylko jednę z nich sobie wybrać i to tę, któraby dla mnie była najlepszą. Już to, Małgorzato, zróbcie dla mnie i połóżcie mi karty; bardzo was o to proszę!

Jak tylko Stach zaczął się przymilać i prosić i tak pięknie spoglądać, to jużby żadna stara baba nie mogła być tak twardą, aby mu odmowną dała odpowiedź, a tem mniej stara Małgorzata, która Stacha kochała jak własnego syna.

— No, jeżelić już koniecznie chcesz, — rzekła, — to już to zrobię. W niedzielę po nieszporach około piątej przyjdę do ciebie i przyniosę karty ze sobą. A teraz zostań z Bogiem! Połóż

się spać, a jak się prześpisz, to się i może inaczej namyślisz!

— Ej, gdzie tam!—mruknął Stach i poszedł spać, a we śnie widział i Marysię i Kasię i Zosię i jak się tam wszystkie nazywały, które miały szczęście jemu się podobać. W końcu śniło mu się także o Halce, o ojcu i matce, i o — starej Małgorzacie, która mu porządnie zmyła głowę.

I rzeczywiście w niedzielę po nieszporach siedzieli oboje przy stole: na wielkiem krześle stara Małgorzata, przed nią stół z kartami, a Stach obok niej na ławie przy piecu.

Czerwienny król, który dziś miał przedstawiać Stacha, był czarny jak kominiarz, a czerwienny panfil zupełnie miał twarz wytartą. Inne figury nie mniej były osmolone, a żołędny panfil, który zawsze starą babę przedstawia, wyglądał istotnie jak ciota.

— Stachu!—rzekła Małgorzata, stukając kościstemi palcami po rozłożonych kartach, począwszy od siódemki, aż nastrafiła na czerwiennego króla, — ty rozmaite jeszcze przejdziesz koleje, zanim prawdziwą dostaniesz. Bo widzisz, oto czerwienny panfil tu jest zupełnie na końcu—siedem — osiem — dziewięć — dziesięć — patrz! ta kobieta z rudemi włosami — tu dzwonkowy tuz, —ta sobie ciebie upatrzyła! Ale—słuchaj mojej rady — miej się na baczności, dla niej dostaniesz

kije! — Siedem — osiem — dziewięć — dziesięc — o jej! Wino! — ta sobie z ciebie drwi! — Dziewięć — dziesięć — ta stara chciałaby cię dla swojej córki — ale — zgadnij! W końcu jednak dostanie ci się czerwienny panfil, a obok niego dzwonkowa dziesiątka — to pieniądze -- aha! Widzisz? Tu masz zapewnienie! List! — a obok tego—prowadzi wązka ścieżka—siedem — osiem — do domu — i znowu dzwonkowa dziewiątka — tak, tak — na pewno będą pieniądze! No— już nic lepszego sobie życzyć nie potrzebujesz! Ale na to szczęście jeszcze cokolwiek zaczekasz — a i rogów jeszcze cokolwiek sobie przytrzesz — nie szkodzi.

Małgorzata raz jeszcze potasowała karty, kazała Stachowi zebrać i znowu na pewno wróżyła mu kije, ale w końcu czerwiennego panfila z pieniędzmi.

— No! — zaśmiał się Stach, — kijów się nie boję. Niech jeno kto przyjdzie i popróbuje pięści Stacha. Ale—że tylko ta jedna czerwienna — jak się tam nazywa — ma być dla mnie — to mnie gniewa!

— A pfe! Wstydź się Stachu! — zawołała stara, chowając swe usmolone karty, -- czy może zaraz całą kopę chciałbyś pojąć jak Turek?

Stara odeszła. W drodze niedaleko młyna spotkała Halkę.

— Skąd Pan Bóg prowadzi, matko Małgorzato? — zapytała Halka.

— Byłam u Stacha—dałam mu porządnego kaptura! — odpowiedziała stara, wstydząc się za głupotę chłopaka.

—Biedny Stachu!—westchnęła Halka,—on teraz niema nikogo, któryby mu gospodarstwa dopatrzył, jak tylko was, Małgorzato! Ach gdybym ja matką jego być mogła,—ale—jestem na to za młodą!

— A czemużbyś żoną jego być nie chciała i zarazem mu serca nie naprawić, które—co prawda — dosyć ma głupie? — zauważyła stara patrząc dziewczynie bystro w oczy.

Ona się zarumieniła i wyjąknęła:

— Ale Małgorzato! Na Boga, co mówicie! Toć to grzech — przecież Stach jest moim bratem!

— Takim jest twoim bratem, jak ja jestem twoim dziadem, ty głupi dzieciaku!—zaśmiała się stara ciesząc się z rumieńca, którego zobaczyła na twarzy Halki.—Ale możebyś ostatecznie Stacha wcale nie chciała za męża — co?

Teraz Halka dostała czkawki, która tak ją męczyła, że słówka wymówić nie mogła. Wreszcie ustało, a ona książkę do nabożeństwa przycisnęła do serca i powiedziała:

— Idźcie z Bogiem, Małgorzato!—i uciekła do młyna.

— Aha, już wiemy! — mruknęła stara, — dzieciaki jesteście i basta!

Potem poszła do swej ciupki w szpitalu.

Stach był zupełnie ogłupiałym od czasu, jak mu Małgorzata z kart wróżyła. Teraz zadzierał nosa, puszył się jak indyk, a na dziewuchy, którym dawniej szczerze spoglądał w oczy, a nawet się do nich nieraz uśmiechał, dziś wcale nawet nie patrzał.

I cóż to było? Oto czerwienny panfil i ta dzwonkowa dziesiątka — pieniądze — wlazły mu w głowę i na te chciał czekać.

A im dumniejszy był Stach, tem więcej na niego łowiły dziewuchy; jeżeli dawniej tylko do niego się uśmiechały, to teraz zupełnie wlepiały w niego oczy.

Tam gdzie Stach obecnie pracował, mieli córkę jedynaczkę, wcale nie szpetną dziewuchę, jeno że była cokolwiek krzywa, tak nieprzymierzając, jak znak zapytania.

Celka nie była też zanadto młoda; miała o-ona szesnaście lat, ale na każdej stronie, a matka jej, która aż do jej trzydziestego roku mocno w to wierzyła, że dla Celki znaleźć się musi kawa-

ler, zaczęła teraz na seryo powątpiewać i ciarki ją przechodziły na wspomnienie, że dziewucha zostanie starą panną.

— Byli — co prawda — rozmaici chłopcy, któRzyby chętnie byli Celkę wzięli, nie dla jej koszlawej kości pacierzowej, ale dla jej greberów, bo gospodarstwo było piękne, a matuś miała w skrzynce kilka pończoch napełnionych talarami. Lecz Celka nie była głupia i matka także.

Naraz Stach wpadł jej w oko, tej krzywej córce gospodarskiej, a że ona w domu komenderowała ojcem i matką, więc też nikt się jej nie sprzeciwiał, gdy powiedziała: „Pójdę za Stacha i za nikogo innego!“

— Co? garbatą żonę? Chybabym w pięcie miał rozum! — wyrwało się z ust Stacha, gdy mu gospodyni w cztery oczy dała tak niby do zrozumienia, że mógłby tam być panem, gdzie chwilowo służył za parobka. — Bywajcie zdrowi, gospodarzu! — powiedział zaraz potem, wypowiedział służbę i wyniósł się z domu.

— Sprawdziło się jedno, sprawdzi się i drugie, — pomyślał sobie Stach, — a o robotę mi nie trudno!

Nazajutrz pracował już u innego gospodarza, a ten mu jeszcze lepiej płacił, jak pierwszy.

Tak nadszedł kiermasz, w niedzielę przed św. Urszulą.

Wieczorem były tany w gościńcu, a dziewuchy jeno się tak darły o Stacha, bo z kart starej Małgorzaty, których się wszystkie radziły, wiedziały, że Stach kiedyś pięknego doczeka się grosza. A dziewuchy sobie to tak tłómaczyły, że na Stacha spadnie jakie niespodziewane dziedzictwo, albo też że wygra w loteryą. No, a szykowny też był ze Stacha chłopak, to też wcale nie dziw, że dziewuchy całem sercem pragnęły go zdobyć.

A więc, jak się powiedziało, w kiermasz były tany i tak dobijano, że jeno się ziemia trzęsła, a o Stacha darły się najładniejsze dziewuchy ze wsi i z całej okolicy.

Biedna Halka siedziała sobie w kąciku, jak żyd na popiele, a w oczętach jej raz poraz coś zaświeciło, bo taki ból czuła, jakby ją kto szarpał za serce. Bo Stach wcale na nią nie patrzał, ani razu nawet się nie obejrzał, ani też razu z nią nie potańczył, jeno tak patrzał naokoło siebie, jak jaki basza, który ma same niewolnice przed sobą. Biedne to stworzenie, ta Halka! A przedwczoraj jeszcze stara Małgorzata nieproszona położyła jej karty i powiedziała jej, że Stach dba o nią tyle, co pies o piątą nogę i że mu się ma namykać z drogi, aby mu do szczęścia jego nie

przeszkadzała, i że dla nich obojga będzie najlepiej, jeżeli dla niego będzie obojętną i zimną, bo tylko w ten sposób dojdzie do celu i dostanie bogatą żonę — i kije także, ale o tych kijach nic Halce nie wspominała.

No i proszę: — Małgorzata powiedziała to jasno i wyraźnie, a że Halka wyżej ceniła szczęście Stacha, jak swoje własne, więc też szczerze chciała słuchać rady starej Małgorzaty i Stacha unikać.

Nareszcie jednakże i do niej Stach przyszedł i chciał, aby z nim tańczyła.

— Noga mię boli, Stachu, nie mogę!—odpowiedziała mu krótko, ale wedle serca coś ją bardzo zabolało.

Zaraz potem przyszedł inny parobczak i — stosując się do rady starej Małgorzaty, — poszła z nim w tany.

Jak to Stach zobaczył, było mu tak, jak gdyby mu żaba usiadła na wątrobie.

— Co? — mówił do siebie. — Ze mną tańczyć nie chciała dla tego, że ją boli noga, a teraz wywija w tańcu jak wartałka? I to mnie? mnie? temu, o którego drze się cały świat, mnie dała odkosza, który jej jestem najbliższym?

Ano, tego mu było za wiele! Więc rozjadowiony jak bestyja, wpada pomiędzy tańczących, wyrywa czerwonowłosą dziewuchę tance-

rzowi jej z ręki i pędzi z nią w wirowym tańcu jak opętany.

Ale też nawarzył sobie piwa! Z Frąckiem nie były przelewki; ten był rozjędorzony, a był to chłop mocny jak niedźwiedź. Jak mu Stach wyrwał dziewuchę, zbladł jak ściana, zaciął zęby, że aż zatrzeszczały, gdy patrzał na nią, jak wywijała ze Stachem i mruknął pod nosem:

— No poczekaj! Zapłacę ja tobie!

— Frącek, nie daj się!—mówili mu drudzy, którzy już dawno mieli chrapkę na Stacha dla tego, że takie szczęście miał do dziewuch.

A czerwona Antka śmiała się z zuchwalstwa Stacha, zamiast mu dać kaptura za jego desperacyą i jemu powiedzieć:

— Nie Stachu, kto pierwszy, to do wierszy, a do tego tańca, to już Frącek ma prawo.

Ale jej dumie to schlebiało, że się Stach darł o nią, i że dla niej Stach będzie się musiał bić; lecz kto kije oberwie, o to nie pytała.

Jednej tylko serce drżało z obawy, a tą była Halka. Z trwogą patrzała na rozjędorzone twarze Frącka i drugich chłopaków i nie uszło jej uwagi, że ściskali pięście i między sobą szeptali.

— Siła złego na jednego! Lepiej ja pójdę do domu i zmówię za niego pacierz. Inaczej dopomódz mu nie mogę, a tu bezemnie bardzo do-

brze się obędą! — Tak sobie myślała Halka i wymknęła się z izby. Ale jeszcze nie uszła sto kroków, gdy ją Stach dogonił i na nią zawołał:

— Helu, czemu się cichaczem wymykasz, jak taka, która coś ukradła? Czy może masz nieczyste sumienie, że nie chcesz, abym cię do domu odprowadził?

— Nie, Stachu, sumienie mam czyste!—odpowiedziała Halka spokojnie, — ale nie chciałam ci przerywać zabawy, a mnie już czas powrócić do domu; trzeba jutro wstać rychło do roboty, a wiesz, że u nas w młynie nie żartują.

— A czemużeś dzisiaj zemną tańczyć nie chciała? — zapytał Stach szorstko, i takim tonem, jak jeszcze nigdy do niej się nie odzywał.

—Ja—ja—tak czułam, że mię coś w gardle zabolało, — wyjąkała Halka.

— Nie zmyślaj! Powiedz prawdę! Ja koniecznie chcę wiedzieć! — krzyknął Stach rozgniewany.

A że biedne dziewczę nigdy w swojem życiu nie skłamało, bo się bało grzechu, więc tedy opowiedziała Stachowi szczerze, jak jej stara Małgorzata surowo nakazała, aby Stachowi nie wchodziła w drogę i nie przeszkadzała mu do szczęścia, jakie go ma spotkać przez ożenek z bogatą dziewuchą, którą na pewno dostanie.

Stach słuchał jej słów w milczeniu. Potem podał jej rękę i rzekł:

— Jeżeli tak, to dobrze! Toć stara Małgorzata najlepiej to musi wiedzieć. Idź z Bogiem, Helu, i wyśpij się!

To powiedziawszy odwrócił się, aby na tańce powrócić. Ale Halka strwożona uchwyciła go za ramię i zawołała:

— Idź także do domu, Stachu! Proszę cię bardzo! Parobczaki są wszyscy okrutnie na ciebie zagniewani; — mogą ci jeszcze zrobić co złego!

Stach roześmiał się na całe gardło, podniósł silną swą rękę do góry, potrząsł pięścią i rzekł:

— Niechby jeno spróbowali! Ja nie stara baba, a ten się jeszcze nie urodził, którego by się Stach przestraszył. Idź z Bogiem!

Potem się odwrócił i hardo poszedł do gościńca.

A w komorze swojej padła Halka na kolana i gorąco się modliła za Stacha.

Mimo to Stach tej samej nocy oberwał swoje kije i—co prawda—bardzo porządne.

Ponieważ jeden nie miał odwagi rzucić się na niego, więc aż sześciu chłopaków na niego się zaczaiło, i takie mu sprawili łoje, że aż ziemia stękała. Stach miał na głowie kilka guzów tak

dużych, jak pięść, podsinione oczy i kilkanaście krwawych ran na plecach i rękach, i wyglądał, jak gdyby z trzydziestoletniej wojny był powrócił. Z napastników jego każdy też porządne oberwał pamiętne.

— Zdrowo mu! — zawołał gospodarz, u którego Stach pracował, gdy nazajutrz się nie stawił do roboty. — Musiał na gwinty zasłużyć.

Ale gospodyni nie była na niego zagniewana, lecz posłała Stachowi przez chłopca garnek rosołu i miskę klusek, aby się wzmocnił.

Stara Małgorzata zakrzątnęła się przy nim niby doktór jaki i całego oblepiła plastrami, a gdy mu mokre płaty przykładała do oka i opatrywała podrapane ręce, zauważyła złośliwie:

— Widzisz, Stachu, że karty dobrze przepowiedziały? Garbatą dziewuchę poznałeś; tę z czerwonemi włosami także, no — a co się tyczy tych kijów, to zdaje mi się, iżeś dobrze poczuł, że się punktualnie zjawiły, co — ?

Ale Stach nic na to nie odpowiedział, jeno sobie myślał, że po siedmiu złych latach muszą nastąpić lata obfite, a więc teraz u niego kolej na bogatą dziewuchę z worem pieniędzy.

Obfite łzy wylewała Halka, gdy się dowiedziała, jakie Stach dostał manto, a najboleśniejszem było dla niej, że młynarzowa nie chciała jej pozwolić, aby Stacha odwiedziła.

— Po pierwsze, nie możesz w dzień powszednie odejść od roboty, — powiedziała młynarzowa, — a potem też nie przystoi, abyś ty chodziła do chłopaka, który nie jest twoim prawdziwym bratem.

Dla tego musiała znowu stara Małgorzata być pomocną i zanosić Stachowi od Halki to, co sobie ze skąpej swej strawy od ust odejmowała.

Tak więc leżał Stach zbity i zmarnowany, że ani się ruszyć, ani się obrócić nie mógł, miał na swojej skórze wszystkie tęczowe kolory, a wewnątrz gotowała się jemu żółć ze złości i wstydu, że to jemu coś podobnego wydarzyć się mogło.

— Ej co tam! Niedbaj o to, Stachu!—pocieszała go stara Małgorzata. — Pamiętaj, że len także musi być porządnie wytrzepany, jeżeli dobrą ma być przędzą. Zobaczysz, że w krótkim czasie skóra twoja znowu będzie taka gładka, jak poprzednio. Ale teraz uważaj i pozwól ze sobą pomówić rozsądne słówko. Chciałabym przez ciebie zarobić faktorne.

— Co? Czy już macie dla mnie bogatą— —? — zapytał Stach czemprędzej i zwrócił na starą podsinione swe oczy.

— Dla ciebie? — Nie! Ale mam kawalera dla — Halki, dla twojej siostry!

— Dla—dla—Halki?—wyjąkał Stach, któremu się zdawało, że nie słyszy dobrze.

— Tak jest, dla Halki. Chłopak nie brzydki, a będzie miał kiedyś dość pokaźne gospodarstwo i jest w twojej siostrze zakochany po same uszy. Nazwisko jego mam ci dopiero powiedzieć, gdy ty dasz swoje zezwolenie, a mnie on obrał za faktorkę.

Jak Stachowi przy tych słowach było na sercu, trudno opisać; ale tak się skrzywił, jak gdyby go padalec ukąsił.

— Halkę, Halkę chce zabrać? — krzyknął naraz i pięścią huknął w pierzynę, że aż szwy prawie popękały, — do milion krociset tysięcy cyganów, ja mu kark skręcę!

— Stachu, Stachu! — upominała go Małgorzata, — przecież tu chodzi o szczęście dziewuchy! Zastanów się dobrze. Przypomnij sobie, jak nieboszczka matka to dziewczę kochała, a ty jako brat musisz jej teraz zastąpić ojca i matkę.

— Ale ona nie jest moją siostrą, przynajmniej nie moją siostrą rodzoną! — krzyczał Stach znowu — a ona niema iść za mąż — ja nie chcę, ja na to nie zezwolę!

— Tak? Więc ma zostać na koszu i być starą panną? No, śliczne by to były widoki dla tego biedactwa, które jest gołe jak turecki święty, a w służbie u młynarzów nie lepszych zażywa

czasów, jak ich pies podwórzowy. Teraz gdy może zostać szczęśliwą i dostać dobrego chłopa, teraz ten właśnie chce jej stanąć na przeszkodzie, który zawsze mawiał, że po ojcu i matce Halkę na całym świecie najwięcej kocha!

— Tak też jest! Ale Małgorzato — ja niewiem, co to jest — ale mnie się zdaje, że to czystem niepodobieństwem, aby ktoś inny miał mieć Halkę, a nie ja, i ja myślę, że mi teraz jest rzeczą jasną: ona koniecznie musi być moją, jeżeli mam być szczęśliwym, bardzo szczęśliwym!

No, żeby kto widział, jak pociesznie teraz ta stara wyglądała! Niby udawała zagniewaną i czoło okrutnie zmarszczyła, a usta jej zupełnie się tak ułożyły, jak gdyby głośnym wybuchnąć miała śmiechem. Toć ona zawsze była tak jakoś waryatna, i człek nigdy z niej mądrym być nie mógł.

— Słuchaj Stachu, — zaczęła znowu, — mnie się zdaje, że tobie się we łbie przewraca! Czyś już zapomniał o tej bogatej pannie, którą ci z kart wywróżyłam?

— Dajcie mi święty pokój z waszemi kartami. Małgorzato! — mruknął Stach; — garbatej dałem odprawę, kije swoje też rzetelnie dostałem, a na inne już nie mam apetytu. Powiedzcie waszemu kawalerowi z góry, że z tej mąki chleba nie będzie i Halki nie dostanie. Halkę za-

trzymam dla siebie i za nikogo ona nie pójdzie, jak tylko za mnie! Na to przysięgam!

Stara Małgorzata spojrzała na niego figlarnie z ukosa i zapytała od niechcenia:

— A wiesz ty też na pewno, czy Halka ciebie będzie chciała za męża? Ja bo nie mam wielkiej nadziei; przecież na kiermaszu nawet z tobą tańczyć nie chciała!

Tedy się Stach rozjadowił i zawołał:

— Dajcie mi pokój z waszemi figlami, Małgorzato! To tylko wasza była sprawka. Wyście Halce zakazali, aby zemną nie tańczyła, a ja też wiem, dla czego. Ale — zatrzymajcie sobie tę czerwienną — jak się tam nazywa — wraz z jej wypchanym trzosem; nagwizdać na to! Ja jestem zdrowym i silnym — oj, oj, boli! — mam ręce nie dla parady i mogę zatem pracować dla żony i dzieci, aby głodu nie przymierały. Teraz mi jasno we łbie, wiem co mam robić i basta!

— No jak tam myślisz! — mruknęła stara, i świeży płatek położyła mu na oko, a przytem tak na niego patrzała, jakby go chciała pocałować. Ale stara Małgorzata tego nie zrobiła, tylko go lekko uderzyła w twarz i rzekła:

— Tak! A teraz zdrzymnij się troszeczkę, Stachu! Sen najlepszem jest lekarstwem. Ja tymczasem poskoczę do domu i po drodze odpo

wiem temu biedakowi, który w Halce tak jest rozkochany.

Ale Stach nie mógł usnąć. Przewracał się w łóżku na tę i ową stronę, że aż deski trzeszczały, a posinione żebra na nowo go znowu zabolały. Bo ta myśl, że Halka mogłaby być czyjąś inną żoną, nie dawała mu ani chwili spokoju.

— A gdyby też rzeczywiście tylko brata we mnie widziała i nic więcej, — zapytywał siebie bez przestanku, — o jej, toby było licho!

Lecz nareszcie jednakowoż usnął i śniło się jemu o tych kijach, które dostał, i o tym niegodziwcu, który mu Halkę z przed nosa chciał zabrać; ale o Kaście, Maryście i o wszystkich tych dziewuchach, za któremi kiedyś tak okrutnie gonił, teraz ani się mu przyśniło.

Czerwono zachodziło słońce. Stach obudził się, przeciągnął się nieco i obejrzał po pokoju.

— Samotny, zawsze samotny! — westchnął. — Jeżeli jeszcze nadto człek chory i niema nikogo, któryby się raz poraz zapytał: Jakże ci? albo też: możeby ci czego było potrzeba? A to rozpaczać prawie trzeba!

Wtem cień jakiś przesunął się koło okna i zanim się Stach zastanowić mógł, skądby się wziął, otworzyły się drzwi, a Halka stanęła w progu i zbliżyła się do łóżka Stacha.

— No, jakże ci, Stachu? Możeby ci czego było potrzeba? — zapytała go z taką słodyczą, że Stachowi zdawało się, iż słyszy anioła.

Ciężko Stach westchnął, twarz zasłonił rękami — bo się wstydził swoich podsiniałych ócz — wtedy Halka odezwała się znowu z politowaniem:

— Razi cię słońce, tak? Poczekaj zaraz temu poradzę!

I przyskoczyła do okna i zasunęła białe firaneczki, które jeszcze nieboszczka matka uszyła. W izbie teraz jeszcze było ciemniej.

— A — a gdzie ty jesteś, Helu! — zapytał Stach takim głosem, jak gdyby dziesięciu zliczyć nie umiał.

— Tu jestem, Stachu! odpowiedziała Halka i usiadła przy nim na stoliku. — Stara Małgorzata, która tu niezadługo nadejdzie i przez noc przy tobie zostanie, wyprosiła mi pozwolenie u młynarzowej, abym tu do ciebie przyjść mogła i zobaczyć, czy ci czego nie braknie. Powiedz więc teraz: czy mam ci jakiej polewki ugotować, albo może bzowych lub lipowych kwiatków?

To mówiąc pochyliła się Halka nad pokiereszowanym Stachem, patrzała mu zaniepokojona w twarz i tak głęboko się nachyliła, że miękkim swoim włosem twarz mu musnęła.

Stachowi było na przemian zimno i gorąco,

a serce mu tak gwałtownie biło, jak gdyby mu pierś chciało rozsadzić. Przytem takiej dostał trwogi, jak gdyby mu dach miał się zapaść nad głową.

— Helu, Helu! — wyjąknął naraz, — więc już myślałaś o zamęściu — masz już kogo, któryby cię chciał zaprowadzić do ołtarza?

Halka zarumieniła się jak burak, spuściła oczy i zawstydzona odrzekła smutno:

— Ja — i o zamęściu myśleć! Ciekawam, ktoby mógł być tak głupi, aby mię, biedną dziewczynę, chciał wziąć za żonę!

— Kto? — zawołał Stach i podniósł się w łóżku, (a teraz żadnej a żadnej nie czuł boleści), — ja ci zaraz nazwę jednego, i to nikogo innego, tylko Stacha, który też nie posiada wiele, a któremu ty jedna milsza i droższa jesteś, jak wszystkie dziewuchy na całym świecie!

Co ona na to odpowiedziała i czy wogóle coś było powiedziano, któż to może wiedzieć? Jedna tylko Małgorzata, która podsłuchiwała pode drzwiami, słyszała, jak Halka wprzódy przez chwilkę płakała, (ale z pewnością nie z żalu ani smutku), a potem coś mlasnęło, i tak zupełnie się słyszało, jak kiedy dwóch sobie daje całusa.

Ale Małgorzata, która stała przede drzwiami, głośno teraz zakaszlnęła, a po chwili uchyliła drzwi i zawołała.

— Halko! Idź do domu! Młynarzowa cię już z niespokojnością wyczekuje, a trzeba krowy wydoić!

* *
*

Było to około świętego Marcina, jak Stach, — znakomicie wykurowany, — z Halką przyszedł do księdza proboszcza i dał na zapowiedzie.

Ksiądz proboszcz wypytał ich tedy to i owo z katechizmu, a potem im piękną powiedział naukę o obowiązkach małżeńskich, i jak się mają kochać, dochować sobie wierności i nawzajem sobie pomagać znosić dobrą i złą dolę; — jakto w ogóle zawsze się mówi w tych naukach, których narzeczeni tak pobożnie słuchają, a potem tak prędko wypuszczają z pamięci.

W niedzielę przed świętą Katarzyną było wesele.

— No, jak ci dwaj majątek swój złożą do kupy, to będzie to cokolwiek mniej, jak nic! — zauważyła złośliwie garbata córka gospodarska po ukończeniu nabożeństwa. A ta z czerwonym łbem, która zawsze oko miała na Stacha, dodała szyderczo:

— Co prawda, bogatą dostał pannę! Cały jej posag toby pies na ogonie wyniósł!

Ale za temi dwoma złemi językami stała sta-

ra Małgorzata, która się skrycie uśmiechała i myślała swoje.

Gdy Stach z Halką wyszedł z kościoła, przystąpiła do niego Małgorzata, wydobyła z pod fartucha stary pugilares, oddała go Halce i rzekła tak głośno, że wszyscy ludzie to słyszeć mogli:

— Na, Halko, masz tu swoją wyprawę, okrągłe 500 talarów, a z procentem za lat ośmnaście razem 981 talarów i 15 fenygów. Widzisz, te pieniądze zapisała ci twoja umierająca matka, która ciebie daremnie szukała, gdyś się zabłąkała i bez śladu zginęła. Pieniądze miał sąd w zachowaniu i dopiero zeszłego roku dowiedziałam się przypadkiem o tem. Więc tedy jak się przekonałam, że to ty jesteś, której szukano, poprosiłam księdza proboszcza o potrzebne papiery i ksiądz proboszcz dla ciebie pieniądze odebrał, a na moje prośby zachował je tymczasowo, aby ciebie jaki uczciwy chłopak wziął nie dla grosza, ale ze serca. To się teraz stalo, a mnie ksiądz proboszcz dał to radosne polecenie, żeby ci twój majątek wręczyć. Twoja matka była wdową przeprowadzała się tędy po śmierci twojego ojca, do swoich krewnych w dalekie strony, tyś była jedynem jej dzieckiem, a gdyś jej zginęła, rozchorowała się w mieście i w szpitalu umarła, zrobiwszy poprzednio testament. Sąd cię poszuki-

wał, ale gdzież tam, mój Boże, my biedni ludzie czytali gazety! A że Stacha matka ciebie bardzo pokochała, i chciała cię przy sobie zatrzymać myśląc, że jesteś biedną sierotą, więc też nie rozgłaszała tego bardzo, jeno ksiądz proboszcz zapisał wszystko dokumentnie, kiedy cię znaleziono, jak ci na imię, i wszystko co wtenczas jako dziecko umiałaś powiedzieć. Jak ksiądz proboszcz to wszystko spisane oddał sądowi, przekonał się sąd, że to ty właśnie jesteś i wydał pieniądze.

— Tak, — mówiła stara dalej zwracając się do Stacha, — a teraz, Stachu, dostałeś bogatą żonę z wielkim worem pieniędzy, a przytem szykowną i dobrą. A gdyby cię znowu kiedy miała chętka wziąć, aby zostać baszą tureckim, co ma naraz kilka mędeli żon, to jeno pamiętaj o tem, że się tobie znowu postaram o baty, a dobre! Rozumiałeś?

Ale Stach nic nie odpowiedział, jeno swą kochaną Halkę przycisnął do serca i nie widział wcale, jak wszystkie dziewuchy, co na niego sidła zastawiały, a biedną Halką gardziły, aż pożółkły ze złości, i jak poczciwym gospodyniom aż w oczach łzy stanęły radości ze szczęścia poczciwego Stacha, który teraz sam będzie mógł być gospodarzem i to gospodarzem nie lada!

No — i zgadnijcie! Pierwsze baty jedna-

kowoż Stach dostał od Małgorzaty, ale nie ten duży Stach, tylko maluśki Stach, którego stara Małgorzata piastowała i wychowała, zanim umarła. Stach ją też miał w swoim domu jak matkę. Poczciwa starowina! Ale jej wróżenie z kart, to pewnie nie było tak wielką sztuką? Co?

KLĄTWA.

(Zdarzenie prawdziwe.)

Słońce miało się ku zachodowi, cisza i pokój panowały w naturze, właśnie najmilsza pora do przechadzki: wybiegłem więc w pole z towarzyszem nieco starszym odemnie. Radowały nas obfite plony, które prace rólników hojnie nagrodzić miały; piękna to pora żniwo dla wieśniaków, wesoło kończą siec pole pszenicy, a my wdzięcznym uchem słuchamy, kiedy niekiedy dolatującej nas piosnki przodownika. Jak wiele poezyi zawierają pieśni ludu, o tem wszczęła się między nami rozmowa: pomału ścieżka zawiodła nas mimowolnie w dębowy lasek; słońce innym ludom przyświecać poszło, a nad nami ukazała się blada twarz księżyca, wyzierająca wśród dębowych liści, jak uwieńczone czoło poległego bohatera. Księżyc, wieczorna doba wśród gaju, tok rozmowy, naprowadziły nas na różne podania, o duchach, klątwach, co obok pieśni ludu tło miejscowej poezyi tworzą. Towarzysz mój wspomniał mi kilka podań, o których kiedyś zasłyszał, wreszcie opowiedział mi zdarzenie prawdziwe w zna-

komitym rodzie polskim, którego prawnucy dziś żyją. Ja wiernie powtarzam słowa opowiadającego.

Jeszcze nie minęło stulecie, jak żyła w.... podeszła wiekiem dama, wdowa po.... Po śmierci męża samotne pędziła życie; wrodzonej dumy nie wykazywała wystawnością: wszystkie nadzieje szczęścia i chwały, złożyła na syna jedynaka, który dopiero z lat młodzieńczych wychodził. Syn odpłacał czułą wdzięcznością za miłość matczyną, rzadko się wydalał z rodzinnego domu. Każdą chwilę starał się uprzejemnić staruszce, a ona cała żyła w przyszłości, codzień kabała, jedyne wieczorne zatrudnienie, wykrywała jej jakąś nową, świetną gwiazdę, w pasmie przyszłego życia młodzieńca.

Tak im zbiegały spokojnie dni, miesiące, aż wreszcie młodzieniec otrzymał zaprosiny na ucztę do jakiegoś możnego pana; matka radziła je przyjąć: pojechał, bawił dni kilka. Minęły dni zabawy, wraca do matki, ale już nie ten sam, jakaś niespokojność maluje się na czole jego, mury dworca nie wystarczają duszy jego, biega po polach, lasach, w końcu zaczął się często z domu wydalać; matka nie sprzeciwiała się temu, ale i jej się humor zaczął psuć od niejakiego czasu, bo kabała, co synowi wojewodziankę za żonę przeznaczyć miała, żadnym sposobem wyjść nie chcia-

ła. Stara zaczęła mieć podejrzenie, kazała śledzić kroki syna; wkrótce dowiedziała się, że młodzieniec bawi częstemi pobyty w domu biednego szlachcica, sąsiada, ojca jedynaczki córki. Wiadomość ta nie była jej przyjemną, ale nie troszczyła się wielce, polegając na zasadach dumy rodowej, co w serce syna wszczepiła.

Dnia jednego wraca młodzieniec wieczorem do rodzinnego domu, po kilkodniowej niebytności: jakieś cierpienie miota jego duszą: usiłuje je pokryć, ale matka to spostrzega, zapytuje o przyczynę; młodzieniec wyjawia swą miłość do córki biednego sąsiada. Matka jakby gromem rażona, stara się odwieść syna od zgubnego podług niej zamiaru, przechodzi szybkiemi słowy rozmaite przeszkody, różnice rodu i majątku; syn przy swojem obstaje z pokorą, lecz z stałością; matka coraz szybciej i słabiej wymawia jakieś okropne słowa.... pojednanie.... nagła śmierć.... psy.... związku ująć trudno, wreszcie pada na ziemię, służebne niewiasty unoszą ją zemdlałą: syn opuszcza komnatę, kroki jego niesforne okazują, że rozpacz niemi kieruje.

Stary kredencerz miał przechodząc słyszeć całą rozmowę, ale bladł na samo wspomnienie, czasem tylko o jakiejś klątwie w gronie służebnych przebąknął, ale nikt się całej rzeczy od niego wywiedzieć nie mógł. Stara pani powróciła do zdro

wia, smutno i głucho w jej dworze, syn zdaje się na zawsze go opuścił, wieść tylko doszła, że gdzieś w zaciszu dni szczęśliwe pędzi z żoną wyboru serca swego, o ile mu ich pamięć matki nie zatruwa.

Dużo czasu ubiegło, aż jednego ranka zatętniały podkowy po zarosłym dziedzińcu głuchej włości opuszczonej matki; posłaniec zeskoczył z konia, wszedł do komnaty, oddał jakieś pismo, tysiąc uczuć i namiętności przebiegło po zmarszczonych licach, wiekiem i zgryzotą przygnębionej staruszki. Każe co prędzej wracać posłańcowi i donieść, że pojutrze stanie u syna. Niezwykły ruch i życie napełniają mury jej dworca, krzątają się stare sługi, gotują do podróży, zaciągają przed dom zapyloną kolasę, zakładają sześć koni: stara z dziwnym wsiada pospiechem. Konie nie chcą z miejsca ruszyć, niezwykłe podróży; stara każe je naglić, stangret zacina — ruszyły.

W domu syna wielkie krzątanie, bo syn się narodził, a posłaniec doniósł, że matka przybędzie; wszystkich lica jaśnieją wesołością i szczęściem, gotują komnaty, rozbiegają się posłańce, spraszając w goście sąsiady: uczta dwojaka, na przyjęcie matki i chrzciny nowonarodzonego.

Nadeszło to tak długo i gorąco oczekiwane jutro, — wszystko w godową przybrane szatę, — co chwila zajedzie sześcio-lub czterokonna kolasa,

a z niej wysunie się najprzód rogówka, potem zaświeci podgolona głowa, karabela zabrzęknie, a państwo domu przyjmują w progu, hajducy wprowadzają do komnat.

Już się zebrała cała okolica, przybiega konny, donosi, że matka już do wsi wjeżdża; syn z kielichem w ręku, synowa z dzieciną czekają w progu, a goszczących grono otacza ich.

Zajeżdża kolasa, wysiada rzeźko zgrzybiała matka, bo za młodość starczy szczęście z oglądania dzieci i wnuka. Porywa w swe objęcia drobną dziecinę; nadzieja, jak spadająca gwiazda, przesunęła się po czołach rodziny. Syn chce spełnić kielich na pojednanie z matką, szkło dziki dźwięk wydaje, kielich rozpryskuje się w kawałki w jego dłoni, dziecko boleśnie zakwiliło, bladość pokrywa lica obecnych; porywa drugi kielich, ale i ten z dźwiękiem pęka, matka pada na ziemię, przybiegają — podnoszą — nieżywa! —

Okropna cisza, zdumienie, boleść zajęły miejsce przedchwilowej radości. Syn, jakby dręczony jakąś obawą, porywa ciało matki i do górnych unosi komnat, zamykać i pilnować nakazuje. Zamiast uczty, nastąpił pogrzeb; smutny i dziwny przypadek dużo zebrał osób. Przed dworem czarny wóz, zaprzężony karemi końmi, mnó-
wiatła, księża w kapach i komżach, chóry
ów zaczynaja już przed wozem śpiew ponu-

ry, przewodniczący człowiekowi do ostatniego u-
stronia, którego mu ziemia użycza; wychodzi bla-
dy, czarno przybrany syn zmarłej, a słudzy wy-
noszą bogatą trumnę, wstawiają na wóz, —ruszyli
wolnemi kroki.

Okropny krzyk wstrzymuje pochód: trumna
spadła z woza, wieko odpada, trup wylatuje; dwa
brytany przyskakują i rozrywają zczerniałe poli-
czki zmarłej; syn wydziera im zdobycz, wkłada
nazad do trumny nieszczęsną matkę, — pada bez
zmysłów, — odnoszą go do domu. — Trumnę
włożyli znów na wóz, wiozą dalej, ale śpiewu nie
słychać, bo tak okropny wypadek, zaniemił wszy-
stkich. — Przybyli na cmentarz, wpuścili ciało
do grobu. Ksiądz pobłogosławił, rzucono zie-
mię na trumnę, głęboko schowały się zwłoki sro-
go ukaranej dumnej niewiasty. Stary kreden
cerz, wracając z cmentarza, powtarzał wieczny
odpoczynek, opowiadając, że sprawdziła się klą-
twa, którą na siebie rzuciła stara, na przypadek,
gdyby się kiedy z synem pojednać miała. Syn
po długiej gorączkowej chorobie odwiedził grób
matki wraz z żoną i dzieciną, — długo się modli-
li. Oby ich łzy otworzyły jej drogę do przeba-
czenia Pańskiego! —

BIBLIOTHECA VNIV. IAGIELL.

Spis Rzeczy.

ry, przewodniczący
stronia, które
dy, czarno
noszą bog
wolnemi kro

Okropny k
spadła z woza,

wy-
zyli

o-
:n
ny
ią-
ek,
vn
ob

v jej drog

ę, —
lasa,

Szymon St. Dep.

OTHECA
IAGIELL.